

EDUARDO MENDOZA

Rok potopu

W latach pięćdziesiątych naszego wieku żył w San Ubaldo de Bassora (prowincja Barcelona) pewien bogacz, Augusto Aixelà de Collbató. Był ostatnim potomkiem starego rodu posiadaczy ziemskich, rodu, którego pracowitość, rozsądek i upór sprawiły, że szlacheckie nazwisko oraz pokaźny majątek dotrwały aż do jego czasów, by zniknąć po jego śmierci. Tak w każdym razie należało przewidywać, bo w okresie, kiedy zaczyna się ta opowieść, był wciąż jeszcze kawalerem, chociaż liczył sobie tyleż wiosen co współczesne ma stulecie. Większą część jego dóbr stanowiła prawie trzystuhektarowa posiadłość leżąca częściowo w granicach San Ubaldo (osady przyłączonej później do miasta Bassory), a częściowo na terytorium Santa Gertrudis de Collbató, skąd pochodziła jedna z gałęzi rodu. W tej to posiadłości, znanej w całej okolicy jako „dwór Aixeli”, stał jego dom, dawna siedziba znamienitych przodków; resztę majątku stanowiły lasy i pola uprawne, gdzie rosły owies i lucerna, chociaż tuż po wojnie domowej część tej ziemi przeznaczono pod uprawę winorośli: uzyskiwano z niej bardzo kiepskie wino, cierpkie i mocne, które sprzedawano hurtem w winiarniach Bassory na użytek klasy pracującej. Pewnego letniego popołudnia, pod niemiłosiernie palącym słońcem, ścieżką pnącą się po zboczu w kierunku dworu podchodziła zdyszana młoda zakonnica. Zanim ostatecznie pokonała stromiznę, zatrzymała się na chwilę, aby złapać oddech i zebrać w sobie resztki odwagi, gdyż bała się, że nie zostanie tu życzliwie przyjęta. Na grzbiecie wzgórza ścieżka zanikała natrafiając na mur otaczający posiadłość; u stóp wzniesienia leżała osada San Ubaldo, w tamtych czasach licząca może z tysiąc dusz, a dalej widać było masywną bryłę Szpitala, wyschnięte koryto rzeki i szosę, która biegła od strony Bassory i przecinała osadę zmierzając ku Collabató, gdzie łączyła się z główną drogą do Barcelony. O tej porze osada wydawała się pusta; nikt nie przechodził krzywymi ulicami, które wytyczono na miejscu dawnych dróg wodnych lub granic nie istniejących już gospodarstw. Gdy mniszka stanęła przed okratowaną bramą, stwierdziła, że jest ona szeroko otwarta, i zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób oznajmić swoje przybycie, lecz po chwili, nie widząc dzwonka ani żadnej osoby, do której mogłaby się zwrócić, zdecydowanym krokiem weszła do ogrodu. Zatrzymała się na szerokiej ścieżce wijącej się wśród wysokich lip i obsadzonej krzewami mirtowymi i oleandrami; ogród, rozległy i cienisty, zasłaniał dom i budynki gospodarcze, które stanowiły mieszkalną część posiadłości. Zarówno żwirowana ścieżka, jak krzewy i drzewa nosiły ślady czyjejś dbałości i starania, ale nikogo nie było widać ani słyszać; wokół panowała nieprzenikliwa cisza najbardziej dusznych letnich godzin. Zakonnica ruszyła ścieżką przed siebie; przebyła już kilkanaście metrów, kiedy zza zakrętu wybiegły dwa ogromne psy: można by powiedzieć, że czyhały przyczajone za krzakami mirtów. Wyglądały groźnie. Zakonnica przystanęła, zamknęła oczy i szepnęła: Zdrowaś Mario, łaskiś pełna. Nieruchoma, z zaciśniętymi powiekami, słyszała dyszenie psów i czuła, jak ich pyski dotykają jej habitu. Nagle rozległ się czyjś krzyk, coraz bliższy: León! Negrita! Spokój! Otworzyła oczy i zobaczyła biegnącą po ścieżce kobietę, która pokrzykiwała: León! Negrita! Do nogi! Psy wciąż obwąchiwały habit przybyłej, warcząc i szczerząc kły.

Kobieta zbliżyła się, poklepała psy po grzbiecie i powiedziała: Proszę się nie bać, siostrzyczko, nic siostrze nie zrobią. Była to uśmiechnięta grubaska w średnim wieku; miała na sobie biały fartuch poplamiony krwią. Zakonnica już mocniejszym głosem wybąkała parę słów na powitanie, a kobieta spytała, czym może służyć. Zakonnica powiedziała, że chciałyby się zobaczyć z panem Aixelą, jeśli jest on akurat u siebie i może ją przyjąć. Jest, a jakże, powiedziała służąca, ale nie wiem, czy będzie mógł siostrę przyjąć; od samego rana zamknął się w gabinecie z administratorem i przykazał, żebyśmy mu nie przeszkadzali. Zakonnica skinęła głową. Proszę mu powiedzieć, że jestem przeoryszą Sióstr Miłosierdzia, tych, co się zajmują Szpitalem, powiedziała; po czym dodała z wymuszonym uśmiechem: I jeśli to możliwe, niech pani zabierze stąd te psy albo zaprowadzi mnie w takie miejsce, gdzie ich nie będę widziała.

Pomiędzy lipami rosły też bardzo wysokie cyprysy; w gałęziach jednego z nich nieoczekiwanie rozśpiewał się szczygieł. Psy biegły za obiema kobietami, skacząc i dokazując; odeszła je chęć do ataku i wydawały się spragnione zabawy, ale zakonnica starała się nie spuszczać ich z oka. Dom był starą budowlą z kamienia; nieproporcjonalnie wydłużony, miał dwuspadowy dach, łukowate drzwi i prostokątne okna, tak wąskie i tak wysoko umieszczone, że przypominały otwory strzelnicze. Nad wejściem znajdował się zegar słoneczny, a na nadprożu wyrzeźbiono datę, która po upływie wieków była już nie do odczytania. Na esplanadzie przed domem dąb osłaniał swym cieniem sfatygowaną ciężarówkę pomalowaną na zielono. Z pustej platformy wychyliła się głowa kota. Kobieta wyjaśniła zakownicy, że ciężarówka i kot należą do administratora. Po czym powiedziała: Ale pan dziedzic nie pozwala wpuszczać kota do domu, bo jest psotny i mógłby stłuc coś cennego. Proszę się nie obawiać, kot nie zejdzie z ciężarówki, dopóki te dwa kręcą się tutaj, dorzuciła wskazując na psy. Usiłowała okazać mniszce jak największą uprzejmość i zatrzeć wrażenie, jakie musiało na niej wywrzeć spotkanie z psami. Z natury wcale nie są złe, mówiła, gdy szły razem ścieżką, ale mają pilnować gospodarstwa, no to i pilnują, bez różnicy. Siostra na pewno wie, co tu się dzieje w naszych stronach, dodała poufnym tonem. Zakonnica nie wiedziała, ale nie przyznała się do tego; była tu od niedawna i dopiero zaczynała sprawować swoją funkcję. Starła się zachować tak, aby jej milczenie nie zostało poczytane za wyniosłość: nie chciała wywierać presji na tę poczciwą i skromną kobietę. A jednak brama była otwarta, odezwała się w końcu, aby coś powiedzieć. Służąca przytaknęła: pan dziedzic mówi, że to nie drzwi odstraszą złodziei, tylko obawa przed tym, co znajduje się za drzwiami. W pewnej odległości od domu, prostopadle do niego, stała szopa, z której wyszedł młody chłopak w niebieskim kombinezonie, unosząc w górę widły z jasnego drewna. Z ust zwiślał mu niedopałek papierosa. Na widok zakownicy oparł widły o ziemię, ściągnął beret z głowy i stał tak, z głupekowato załękniłą miną, wpatrując się w przybyłą. Psy dysząc i śliniąc się legły na ziemi, jeden z nich tarzał się w piachu. Co za głupie stworzenia, pomyślała zakonnica przekraczając próg domu. W zestawieniu z jasnością panującą na zewnątrz, sień dworska wydawała się pogrążona w mroku. Niech siostra tu poczeka, powiedziała kobieta.

Kiedy już się przyzwyczaiła do ciemności, zobaczyła, że całe umeblowanie tego pomieszczenia to wieszak, cztery stołki wyplatane rogożyną i skrzynia zdobiona intarsjami, stara i ciężka, z tych, które zowią kuframi panny młodej. Było to wnętrze raczej nieprzytulne. Stróżka wróciła po chwili tymi samymi drzwiami, przez które wyszła, i powiedziała z zatroskaną twarzą: Bardzo mi przykro, ale pan dziedzic nie może dzisiaj siostry przyjąć, mówi, że jeżeli siostra chce porozmawiać, to niech przyjdzie w czwartek o tej samej porze. Naprawdę mi przykro, dodała cichym głosem. Ależ nie, powiedziała zakonnica, to ja przyszedłam nie w porę i bez uprzedzenia, a pani zrobiła wszystko, co było można. Bardzo dziękuję.

W oznaczonym dniu mniszka znów zjawiała się we dworze i znów powtórzyła się scena z psami przy bramie, ale tym razem przybyła nie zatrzymała się: popatrzyła ostro psom w oczy i mruknęła: León! Negrita! Spokój! A potem zrobiła parę kroków, ale psy zabiegły jej drogę, szczerząc zęby i obracając wniwecz jej bohaterską postawę. Służąca pospieszyła z odsieczą zakonnicy, która wycofała się aż pod wrzosowy żywopłot ciągnący się wzdłuż ogrodzenia; kobieta powiedziała z wyrzutem: Ach, siostrze, proszę nigdy więcej tego nie robić, gdyby skoczyły do gardła, mogą zagryźć w jednej chwili. I dodała: Kiedy już siostrę będą znały, to co innego. Kiedy mnie będą znały? - pomyślała zakonnica. Don Augusto Aixelà de Collbató powitał ją w swoim gabinecie, zaproponował orzeźwiający napój i jął przeproszać za swoje zachowanie sprzed paru dni. Miałem akurat do załatwienia kilka uciążliwych spraw, i to nie cierpiących zwłoki, powiedział, i nawet gdybym siostrę przyjął, nie mógłbym poświęcić jej tyle uwagi, ile z pewnością wymaga to, co sprowadziło siostrę do mego domu. W tej uroczystej przemowie zakonnica podchwyciła cień szyderstwa. Nic siostra ze mnie nie wyciągnie prócz gładkiej uprzejmości, tak oto zdawało się brzmieć przesłanie ukryte pośród okrągłych frazesów. Istotnie, chodzi mi o rzecz dużej wagi, powiedziała stanowczym tonem. Augusto Aixelà zatrzymał na niej badawcze spojrzenie. Był wysoki i chudy i mimo swego wieku zachował sporo dawnej młodzieńczej swobody; włosy miał czarne, a zmarszczki na czole wyglądały tak, jakby brały się nie z upływu czasu, lecz raczej z nieustannego rozbawionego zdumienia. Przybierał miny miejscowego kacyka, ale bez zbytniego przekonania: ostatnimi czasy doszedł do wniosku, że tak czy inaczej, tę właśnie rolę powinien odgrywać; prawdę rzekłszy bardziej by mu odpowiadała rola madryckiego intelektualisty, wykształconego, o ostrym dowcipie i z kryzą wokół szyi, ale los zrządził, że urodził się i żył w prowincjonalnej Katalonii, podupadłej i bez widoków na przyszłość. Zresztą do tak żalosnej sytuacji on również się przyczynił na miarę swych możliwości, bo ledwie wybuchła wojna domowa, posłuszny temu, co nakazywała mu przynależność do wysokiego rodu i ideowa uczciwość, pospieszył oddać swą osobę i majątek do dyspozycji naszego niezwyciężonego caudillo, generalissimusa Franco. Później, gdy wojna została zakończona, okoliczności i jego własne lenistwo sprzysięgły się przeciw niemu i doprowadziły go do obecnego stanu. A że był kawalerem, bogaczem i do tego mężczyzną przystojnym, sympatycznym i bardzo

zamkniętym w sobie, złośliwcy przypisywali mu romanse i przygody z kobietami najróżniejszego wieku, stanu i kondycji. Zakonnica powiedziała: Na dobrą sprawę wcale nie musi mnie pan przeproszać. Przyszłam tu nie uzgodniwszy wpiery terminu spotkania, a tak postępować nie należy; prawdę rzekłszy, nie bardzo wiedziałam, w jaki sposób mogłabym się z panem skontaktować. O, takich sposobów jest wiele, odparł, czy naprawdę nie chce siostra napić się czegoś zimnego? Zakonnica popatrzyła na swoje dłonie, nie wiedząc, co odpowiedzieć: chciała pominąć wszystko, co mogłoby nadać jej obecności tutaj pozór zwykłych odwiedzin, ale pragnęła też uniknąć ostentacyjnej oschłości i pyszałkowatego powoływania się na zakonny stan. Skoro pan nalega, poproszę o szklaneczkę wody, powiedziała po chwili. Augusto Aixelà roześmiał się. Siostra nie docenia mojej gościnności; każę podać lemoniadę cytrynową. Cytryny z tutejszych plantacji są takie słodkie, że nie trzeba dodawać cukru do lemoniady, przekona się siostra, że jest bardzo smaczna. Kiedy poszedł wydać polecenie służbie, zakonnica siedziała nadal na brzeжку krzesła, z dłońmi złożonymi na podołku, sztywna i wyprostowana. Nie poruszając głową obrzuciła spojrzeniem gabinet: oglądała rozstawienie mebli i podziwiała ozdobne przedmioty. Żaluzje były opuszczone, a firanki zaciągnięte; ów półmrok stwarzał wrażenie chłodnej świeżości, ale jednocześnie nadawał rzeczom żalobny wygląd. Gabinet, w przeciwieństwie do sieni, był przeładowany meblami i elementami dekoracyjnymi. Na ścianach wisiały wielkie obrazy, ciemne, w kolorowych ramach, i małe sztychy; były tam też złożone konsolki o rzeźbionych drewnianych nóżkach stoczonych przez robactwo. Wszystkie te przedmioty miały zapewne wielką wartość, a niektóre raziły niezwykłą brzydotą. Meble były ciężkie, stare i robiły wrażenie wyblakłych i w złym stanie, nawet w tym nieokreślonym świetle, które całemu wnętrzu nadawało pewną jednolitość. A teraz zobaczmy, o jaką to ważną sprawę siostrze chodzi, powiedział Augusto Aixelà, kiedy ponownie się usadowił na swym obrotowym krześle za stołem. Zmierzył zakonnicę wzrokiem, chcąc ją przestraszyć: był z natury uprzejmy, ale nie wątpił, że nasłucha się westchnień, zająkliwego mamrotania i narzekania, i ta perspektywa go irytowała. Mniszka zaczęła od poinformowania go, że niespełna miesiąc temu została mianowana przeoryszą wspólnoty zakonnej, która podjęła się opieki nad Szpitalem. Mówiąc to wycelowała palec w ścianę, w tę stronę, gdzie według niej znajdował się Szpital. Dziedzic przytaknął skinieniem głowy: znał aż za dobrze Szpital, ów staroświecki, zrujnowany budynek przypominający zamek, o podrabianych blankach, zza których wyzierała niekiedy sina twarz jakiegoś nieuleczalnie chorego. Szpital wznosił się na karczowisku tuż nad korytem wyschłego potoku. Od zachodu ciągnęła się topolowa aleja, również należąca do Szpitala, który z tego tytułu czerpał niewielkie zyski, co, w połączeniu z niezbyt ochoczą pomocą ze strony biskupstwa i sporadycznymi zapisami testamentowymi, pozwalało mu na dość żalną egzystencję. Augusto Aixelà instynktownie poszukał spojrzeniem książeczki czekowej; każdego roku wspierał jałmużną szlachetną działalność Szpitala, ale zawsze robił to w określonym terminie: na Boże Narodzenie i w Wielki Czwartek; taki był ustalony porządek i nie miał ochoty go zmieniać. Zakonnica jednak wcale się nie spieszyła z wyjaśnianiem. Jeżeli pan zna ten budynek, powiedziała w końcu, to nie muszę tłumaczyć, w jakim jest stanie: on się dosłownie rozpada, a wszystkie instalacje są z czasów Cyda; zajmujące

się nim zakonnice, z przeoryszą włącznie, nie mają pojęcia o medycynie; gdybym ja sama zachorowała, nie chciałabym, aby mnie tam umieszczono. Augustowi Aixeli zdawało się, że dostrzega w tej wypowiedzi mniszki odrobinę szelmostwa, i wzbudziło to jego zainteresowanie. Popatrzył na osobę, która przemawiała doń przybrawszy ową pozę sztucznej powściągliwości: kornet otaczał twarz o regularnych rysach, uśmiechniętą i zarumienioną. Chyba nie jest taka młoda, na jaką wygląda, skoro została przeoryszą wspólnoty zakonnej, pomyślał, i nie taka głupia, za jaką chce uchodzić: ot, dwulicowość i tyle. Zakonnica wciąż miała oczy utkwione w podłogę, ale kiedy mówiła, zatracala swą pozorną łagodność, a jej głos nabierał metalicznego brzmienia zdradzającego charakter władczy i niecierpliwy. Na szczęście, ciągnęła, na wszelkie braki i wady tego Szpitala wkrótce znajdzie się sposób, ponieważ państwo, czyli opieka społeczna, ma wybudować nowy, niedaleko naszego. Ten szpital, mam na myśli ten nowy, będzie posiadał nowoczesne urządzenia, no i, rzecz jasna, wysoko kwalifikowany personel. Kiedy to nastąpi, stary Szpital i jego załoga pójdą na dno, i właśnie w tej sprawie przyszedł do pana. Augusto Aixelà odpowiedział jej chłodnym uśmiechem: dobrze wiedział o nieuchronnie zbliżającej się budowie nowego szpitala w Bassorze. Bassora, odległa zaledwie o osiem kilometrów od San Ubaldo, była szybko rozwijającym się miastem przemysłowym liczącym prawie trzydzieści tysięcy mieszkańców. Nie interesuje mnie kupno ziemi, powiedział; zakonnica zareagowała ostro. Nawet gdybym chciała, nie mogłabym panu sprzedać tego terenu, odparła, bo nie jestem do tego upoważniona, jednakże nie chodzi mi o sprzedaż czegokolwiek; rozplotła ręce, które trzymała na podolku, i położyła dłonie na brzegu stołu; miała ruchy energiczne i nieco męskie; proszę posłuchać, panie dziedzicu, rzekła, wpadłam na pomysł, żeby przekształcić stary Szpital w ośrodek opieki społecznej; oczywiście, to określenie nic panu nie mówi; chodzi mi o przytułek dla starców. Przełknęła ślinę i dodała: pozwoli pan, że mu przedstawię swój projekt, nie zabiorę dużo czasu. Augusto Aixelà skinął przyzwalająco głową. Problem starych ludzi to sprawa poważna i coraz bardziej alarmująca, mówiła zakonnica, jeszcze niedawno starcami zajmowały się rodziny, dziadkowie mieszkali razem ze swymi dorosłymi dziećmi i wnukami, a teraz to się skończyło. Dzisiaj młodzi idą do pracy w miastach, wyjeżdżają też za granicę i nie mogą zabierać ze sobą starych, a choćby nawet mogli i chcieli, to gdzie by ich umieścili? Dawniej domy były duże, a teraz są to małe mieszkania, w których ledwie się zmieści małżeństwo z dwojgiem dzieci, służby domowej się nie trzyma, życie jest z każdym dniem droższe. Starcy to duży kłopot, toteż rodziny, co jest rzeczą smutną, próbują się od tego kłopotu uwolnić; w naszej osadzie mamy dwóch osiemdziesięciolatków, którzy mieszkają sami, w Barcelonie jest takich na pewno bardzo dużo. Tymi ludźmi nikt się nie opiekuje, narażeni są na wszelkiego rodzaju przykrości i zdani tylko na siebie samych, właśnie wtedy, gdy potrzebują czyjejś pomocy. Opieka medyczna jest właściwie żadna: jeżeli stary człowiek upadnie i coś sobie złamie, lekarz założy mu gips i odeśle chorego do domu; jeżeli cierpi na jakąś dolegliwość, wypisuje się mu receptę na lekarstwo, a on nie wie, jak je zażywać, i w końcu zapomina, że ma je brać; starcy muszą sami robić zakupy, gotować, sprzątać mieszkanie, prać bieliznę, ale większość z nich nie potrafi nawet się ubrać, żeby wyjść z domu, niektórym tak prosta czynność jak zawiązanie sznurowadeł zabiera godzinę albo i więcej, również

pościelenie łóżka jest dla nich ogromnym wysiłkiem; drzemią w ciągu dnia, ale w nocy nie udaje im się zasnąć, każdy hałas napawa ich lękiem, odmawiają różaniec, raz po razie, i liczą minuty do wschodu słońca. Mogłabym przytoczyć jeszcze więcej szczegółów, ale nie chcę być posądzona o okrucieństwo. Umilkła i znów przybrała pełną skupienia postawę, którą na krótko porzuciła. W tym momencie spostrzegła, że obok niej ktoś stoi, i zdrygnęła się. Była to służąca, która dwa razy obroniła ją przed psami, a teraz przyniosła jej na srebrnej tacy szklankę lemoniady. Jak pięknie siostra mówi, wykrzyknęła kobieta. Nie przeszkadzaj nam, Pudenciano, powiedział Augusto Aixelà. Służąca postawiła tacę na stole i wyszła z nadąsaną miną. Nie lubi, kiedy się do niej mówi Pudenciano, chociaż to jej prawdziwe imię, wyjaśnił Augusto Aixelà, kiedy znów zostali sami. Zakonnica jednym haustem wypita lemoniadę. Odstawiła szklankę na tacę, westchnęła i zachowywała milczenie, które przerwał Aixelà, dodając: Proszę mówić dalej, siostrze, ja słucham. Podjęła więc swój wywód, już spokojniejszym tonem. Takie przeobrażenie Szpitala nie jest rzeczą prostą, powiedziała, trzeba by to i owo naprawić, przygotować pokoje, zmienić system ogrzewania i doprowadzania wody, przebudować łazienki i kuchnie, a to już, jak pan może się domyślać, inwestycja okazałych rozmiarów; mówiłam o moich planach z różnymi ludźmi: z panem burmistrzem, z sekretarzem gubernatora, który był na tyle uprzejmy, że mnie przyjął, i z pewną osobą z kręgu zbliżonego do episkopatu; wszyscy wysłuchali mnie z największym zainteresowaniem i uznali, że pomysł jest bardzo dobry, wręcz godny pochwały, ale nikt nie okazał najmniejszej nawet chęci, by w jakiś konkretny sposób wziąć udział w jego realizacji; mam oczywiście na myśli wsparcie finansowe. Tak że teraz nie ma już drzwi, do których mogłabym zapukać, panie dziedzicu.

Augusto Aixelà zastanawiał się przez chwilę, po czym, z równie poważną twarzą, z jaką słuchał słów mniszki, zapytał: Jak siostra ma na imię? Odpowiedziała, że nazywa się siostra Consuelo. Wciąż na nią patrząc zapytał, czy tym właśnie imieniem podpisuje czeki i weksle, a ona uśmiechnęła się. Nie, kiedy załatwiam sprawy handlowe, muszę używać świeckiego imienia, odparła. No to proszę mi je podać, nalegał Augusto Aixelà. Nie wiem, czy mogę, powiedziała zakonnica. Może siostra, a nawet powinna, rzekł na to, bo o ile się nie mylę, przystępujemy właśnie do załatwiania transakcji handlowej. Chyba że to wszystko jest jedynie planem mającym na celu zbawienie mojej duszy. Tym razem roześmiała się siostra Consuelo. O nie, to należy do księdza proboszcza; ja tylko próbuję zaprowadzić pana do nieba okrężną drogą, bo czy pan nie powiedział, że przystępujemy do załatwienia sprawy? Tak, ale to nie znaczy, że ją do końca załatwimy, a wciąż jeszcze nie powiedziała mi siostra, jak się nazywa. Constanza, Constanza Briones, szepnęła zakonnica. Nie jest to takie nazwisko, żeby się siostra musiała rumienić, powiedział. Czyżbym się zarumieniła? - zapytała. Tak. To chyba przez tę lemoniadę, powiedziała. Niech siostra nie kłamie, Constanzo Briones, bo będzie się siostra musiała z tego spowiadać, powiedział. Siostra Consuelo zwróciła się teraz do niego z całą powagą, jakby chcąc rozproszyć ów żartobliwy ton, który zaczęła przybierać rozmowa. Pomoże mi pan? - zapytała. Nie wiem, nie wiem nawet, co mógłbym dla siostry zrobić, bo chyba nie

chodzi o jałmużnę; czy siostra to sobie jakoś wyliczyła? - powiedział. Zakonnica odparła: Tak na oko; nie mam przy sobie tych rachunków, ale mogę je panu przysłać. Niech siostra sama je przyniesie, to sobie spokojnie przejrzymy, jutro cały dzień będę zajęty, proszę przyjść w sobotę, powiedział.

Bramę zastała otwartą, jak zwykle. Po drugiej stronie muru był chłopak, którego przed paroma dniami widziała wychodzącego z szopy: teraz miał na głowie słomiany kapelusz z bardzo dużym rondem i przycinał nożycami żywopłot z krzewów wrzосу. Zakonnica pozdrowiła go, a on odpowiedział jej przerwawszy robotę i zdjawszy z wielkim uszanowaniem kapelusz, ale kiedy nadbiegły ujadające psy, które mogły się na nią rzucić, chłopak powściągliwym ruchem nałożył z powrotem kapelusz, stanął do niej tyłem i w dalszym ciągu manewrował nożycami. To pewnie jeden z tych przyglupków, których nigdy nie brak w wielkich majątkach, pomyślała mniszka, zajmują się wszelkimi pomocniczymi robotami, są bardzo oddani i pracowici, ale nigdy nie można na nich polegać. Psy tymczasem spełniały swój obowiązek ze zwykłą zajadłością; szczekamy, skaczemy i dajemy do zrozumienia, że aby zapracować na życie, możemy także gryźć, zdawały się mówić. Pudenciana zaprowadziła zakonnice do gabinetu pana Aixeli, gdzie nie było nikogo. Pan dziedzic zaraz przyjdzie, powiedziała służąca. Wiem, że pani nie lubi swojego imienia, ale proszę mi powiedzieć, jak mam się zwracać do pani, powiedziała mniszka. Może mi siostra mówić, jak zechce, odparła kobieta. A jak panią nazywają inni? Pudenciana zastanowiła się. Prawie wszyscy mówią mi Łysa, powiedziała po chwili.

Dosyć dziwna jednomyślność, zauważyła siostra Consuelo, ale jeśli pani się to podoba, to dla mnie też dobrze brzmi. Tak mnie przezwali, powiedziała Pudenciana trochę ni z tego ni z owego. W gabinecie panował półmrok, tak samo jak poprzednim razem, ale teraz uwagę siostry Consuelo zwróciła także szczególna woń, będąca mieszanką zapachu kurzu, drewna i wody kolońskiej. Kiedy Pudenciana zostawiła ją samą, zakonnica zaczęła się przechadzać po pokoju, nie wypuszczając z rąk przyniesionej przez siebie aktówki; przyglądała się ciekawie tym wszystkim przedmiotom, równie cennym jak cudacznym i w końcu przystanęła przed jednym z nich: była to drewniana figurka wysoka może na dwie piędzi, przedstawiająca na pewno jakiegoś świętego, postać ta była nieco zdeformowana, przegięta w taki sposób, jakby wyrzeźbiono ją z pnia winorośli; w dolnej części figury zachowały się resztki farby, plamy wyblakłej purpury; jedna ręka była odłamana, a druga podtrzymywała prostokątny przedmiot przypominający pudełko z cukierkami. Święty miał rzadką bródkę, półprzymknięte oczy i spłoszone spojrzenie pijaczyny. Wszystko to razem wzbudzało raczej śmiech niż poryw pobożności; mniszka wzruszyła ramionami: nie znała się na sztuce i wcale nie chciała się znać; uważała, że nie jest dobrze, iż obiekty kultu stają się z czasem eksponatami muzealnymi albo zabytkowymi bibelotami. To rzeźba z XI wieku, a może i wcześniejsza, odezwał się czyjś głos za jej plecami. Siostra Consuelo upuściła na podłogę teczkę z dokumentami, a Augusto Aixelà pochylił się natychmiast, podniósł ją i podał właścicielce. Przepraszam, mruknął, nie chciałem siostry przestraszyć. Nie słyszałam, jak pan wchodził, odparła, i nawet nie zdawałam sobie sprawy, że drzwi się otworzyły. Żadne drzwi się nie otworzyły, powiedział Augusto Aixelà, ale proszę się nie obawiać: nie wszedłem przez ścianę, tylko po prostu odchyliłem tę kotarę; a co do rzeźby, to podobno

pochodzi z Saint-Martin-de-Canigou i jest jednym z wielu skarbów, jakie wywieziono z Francji podczas wojny; przedstawia apostoła, być może świętego Szymona, chociaż jest to trudne do ustalenia, bo jak siostra wie, aż do XIV wieku nie włączano do ikonografii atrybutów identyfikujących każdego apostoła; jednakże, co najbardziej prawdopodobne, mamy tu do czynienia z falsyfikatem. Proszę tutaj, dodał wskazując znowu kotarę, zza której przedtem wyszedł. Poszli tam oboje, a on rozsunął zasłonę i znaleźli się na krytym ganku biegnącym wzdłuż tylnej ściany domu. Otwierał się stamtąd widok na ogród, nieco wiejski, z rozłożystym sędziwym figowcem i akacją. Pod figowcem był okrągły stół z marmuru i kutego żelaza, z pewnością od dawna nie używany. Na marmurze leżała pęknięta dojrzała figa, a wokół niej brzęczał rój much. Każę siostrze przynieść lemoniady, powiedział dziedzic, i zanim zdążyła zaprotestować, dodał: Napoić spragnionego to miłosierny uczynek, niech mi siostra nie przeszkadza w spełnieniu go. W jego głosie nie było ani odrobiny sarkazmu, toteż mniszka uśmiechnęła się. On zaś zapraszającym gestem wskazał jej jeden z dwóch trzcinowych fotelików stojących na ganku. Usiadła, a dziedzic zniknął we wnętrzu domu. Letni wietrzyk przynosił aż tutaj zapach figowca. Siostra Consuelo westchnęła: w głębi ogrodu, oddzielony ścianą z przyciętych cyprysów, był, jak mogła się domyślić, sad; w samym środku sadu znajdował się duży sztuczny staw, a dalej, za nim, teren wznosił się tarasami obsadzonymi winoroślą. Ze swego punktu obserwacyjnego na ganku zakonnica mogła dostrzec kiście winogron. Tak ją pochłonął ten widok, że znowu się wzdrygnęła, gdy spostrzegła, że Augusto Aixelà stoi koło niej. Zachowuję się jak pensjonarka, pomyślała, ale powiedziała: Co za urocze miejsce. Tak, odparł, tutaj spędzam zwykle letnie popołudnia, jeżeli pozwalają mi na to moje obowiązki. To rzeczywiście piękna posiadłość, nie tylko w dosłownym znaczeniu tego słowa: chodzi mi o to, że jest to posiadłość dobrze zagospodarowana, prowadzona z prawdziwym talentem; mogę to powiedzieć bez rumieńca wstydu, bo była już taka, kiedy ją odziedziczyłem; ja ją tylko utrzymałem w tym stanie, idąc drogą, jaką wytyczyli moi przodkowie. Odetchnął głęboko i dodał: Kocham to miejsce ponad wszystko inne w świecie, ale kiedy umrę, co się z nim stanie? Zakonnica spojrzała na niego z niepokojem: przyszła tu z zamiarem opowiedzenia o własnych kłopotach, a nie żeby słuchać o strapieniach bliźniego. Ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, dziedzic machnął ręką, by odpędzić jakiegoś owada, fruującego tuż przed jej oczami; po czym spojrzał na nią i uśmiechnął się wesoło, jakby tym gestem odegnał również smutek. Czy siostra pochodzi ze środowiska wiejskiego? - zapytał. Pytanie zostało postawione w sposób taktowny i siostra Consuelo przytaknęła. To prawda, powiedziała, moi rodzice byli zamożnymi wieśniakami, ludźmi prostymi, bez wykształcenia, lecz bogobojnymi i o nieskazitelnej uczciwości. Dzięki ich staraniom i zrozumieniu mogłam się uczyć, aby móc wstąpić do zakonu, powiedziała, no i potem wnieść swój posąg. Przy takiej to pogawędce zastała ich Pudenciana, która weszła niosąc tacę z lemoniadą. Proszę się napić, powiedział Augusto Aixelà, a ja tymczasem rzucę okiem na te rachunki. Pozwoli pan, że sama mu je pokażę, odparła. Nie, powiedział, cyfry są często bardziej zrozumiałe niż słowa no i nie ma w nich tyle zaciekłości; niech siostra pije lemoniadę i odpocznie chwilę po długim spacerze w taki upał i w tak niedorzecznym stroju... Sam się dziwię, że jeszcze siostra nie zemdłała. Siostra Consuelo nie dała żadnej odpowiedzi; poczuła w tym momencie, że ogarnia ją i

porywa jakaś niepojęta lekkość, granicząca z upojeniem, jak gdyby panująca tutaj atmosfera dobrobytu i spokoju, a także łagodne piękno krajobrazu, kontrastujące ze spiekotą drogi, którą dopiero co przebyła, zakłóciły jej wewnętrzną równowagę. Spojrzała w przeciwnym kierunku i zobaczyła na drugim krańcu ganku papugę przykutą do obręczy; zwróciła się ku Augustowi Aixeli, chcąc w jakiś sposób skomentować obecność owego niezwyklego stworzenia, ale dziedzic, już w okularach o drucianej oprawce, zdawał się całkowicie pochłonięty przeglądaniem papierów wyjętych z teczki. Zakonnica wstała i podeszła do ptaka, żeby obejrzeć go z bliska: nigdy przedtem nie zdarzyło jej się widzieć prawdziwej papugi; wydała jej się ona przedziwna i niepokojąca: dziób i pazury były mocne i groźne, okrągłe oczy miały wyraz obłądnej i złośliwej stanowczości, ale upierzenie, delikatne, o jaskrawych barwach, sprawiało, że człowiek zapominał o oczywistym zagrożeniu i traktował ptaka jak przedmiot zbytku. To przewrotne połączenie tak odmiennych cech zafascynowało zakonnice. Nie mówi, ale umie mówić, powiedział Augusto Aixelà; a siostra Consuelo, uświadomiwszy sobie, że jest obserwowana, spochmurniała i odwróciła się w tę stronę, skąd dobiegał głos. Augusto Aixelà siedział tak jak przedtem, trzymając na kolanach rozłożoną teczkę; nie zdjął okularów, a powiększające soczewki wyolbrzymiały teraz jego oczy, które, podobne do dwóch szklistych kółek, zdawały się przedrzeźniać nieludzkie spojrzenie papugi. Nigdy dotąd nie widziałam takiego ptaka, powiedziała ze smutkiem zakonnica, jakby uznając, że powinna czymś usprawiedliwić swoją ciekawość; dziedzic odłożył teczkę i okulary na stolik przy fotelu i podeszedł do siostry Consuelo; papuga zauważywszy, że ktoś się jej przygląda, nastroszyła pióra, otworzyła dziób i wydała z siebie przenikliwy wrzask. Osoba, która mi ją podarowała, mówiła, że pochodzi ona, jak wszystkie ptaki tego gatunku, z dżungli amazońskiej, powiedział Augusto Aixelà, tam się je chwytają i wysyłają do Europy towarowymi statkami; w czasie podróży uczą się powtarzać to, co mówią ludzie z załogi: stek przekleństw i sprośności, którymi wprawiają w zakłopotanie swych późniejszych właścicieli, ponieważ nauczyły się tego przypadkiem i nigdy nic nie zapominają; ten ptak natomiast nie nauczył się niczego, bo być może w podróży umieszczony był w jakimś odosobnionym miejscu, dokąd nie docierały ludzkie głosy; teraz powinienem nad nim popracować, ale nie mam czasu ani ochoty, ot, kiepski ze mnie pedagog. Zakonnica przestała się wpatrywać w papugę i oboje wrócili na swe fotele; siedzieli w milczeniu, patrząc przed siebie, tak jakby robili przegląd sadu i winnic. W końcu mniszka powiedziała: Jakie jest pańskie zdanie? Augusto Aixelà powolutku odwrócił się w jej stronę. Zdażyłem tylko rzucić okiem na ten projekt, ale mogę z całą pewnością stwierdzić, że rachunki się nie zgadzają, rzekł. Z czym? - zapytała. Z siostry zamierzeniami, odparł, albo z rzeczywistą sytuacją; siostra wspomina tu o dwóch milionach peset, ale według mnie na to wszystko, o czym tu mowa, trzeba by było o wiele więcej, cztery miliony albo z pięć, sam nie wiem; skąd siostra wzięła te liczby? Och, skąd się dało, odpowiedziała wymijająco. Są mylące, powiedział, mylące i niepełne; zacznijmy od tego, że w kosztorysie nie zamieściła siostra wyceny siły roboczej. Nie, bo myślałam, że to nie takie ważne, wtrąciła skwapliwie zakonnica, po prawdzie to my same mogłybyśmy wykonywać fizyczną pracę, nie boimy się jej. Augusto Aixelà rzucił jej pełne irytacji spojrzenie. Nie boicie się, bo nie wiecie, co to za praca, wykrzyknął; siostra

Consuelo milczała speszona, a on mówił dalej: Nie jestem człowiekiem o niezłomnych zasadach, ale doświadczenie nauczyło mnie szanować ludzką pracę bardziej niż cokolwiek innego; siostra mówi o niej tak lekkim tonem, bo zapewne utożsamia pracę z wysiłkiem. Proszę nie popełniać tego błędu; praca to wysiłek, lecz także mądrość i wytrwałość; nie chodzi tu o użycie brutalnej siły wobec materii, lecz o to, by wiedzieć, co się chce zrobić i dlaczego, oraz jak należy to zrobić, a następnie wykonać to wszystko nie oszczędzając trudu, inteligentnie i z upodobaniem, i wkładać w każdy gest wielowiekowe dziedzictwo poświęcenia i celowości. Wstał z fotela i zaczął chodzić po ganku na oczach oszołomionej zakonnicy; po chwili, kiedy wydawało się, że już nie ma ochoty mówić dalej, przystanął i wyciągnął rękę w stronę wzgórza. Proszę spojrzeć na ten sad i winnice, powiedział, ziemia tu jest jałowa, a deszcze zdradliwe, ale wszystko rośnie dzięki bardzo pomysłowemu i skomplikowanemu systemowi zbiorników, kanałów i śluz regulujących nawadnianie, systemowi tak staremu, że nikt nie wie, kto i kiedy go wymyślił i wprowadził, chociaż wszystko, co dotyczy tej posiadłości, posiada swoją dokumentację od przeszło sześciuset lat. I to, co widać, i to, czego nie widać: te tarasowate grzędy, dom, lemoniada, którą siostra piła przed chwilą, a także ja sam - wszystko to zrodziło się z tego straszego wysiłku, nieustannego i anonimowego. Powrócił do stolika, zamknął teczkę, którą tam przedtem położył, i podał ją zakownicy. Proszę to zabrać, wiem, że siostra miała jak najlepsze intencje, ale nie mogę poważnie traktować takich mrzonek; gubernator i biskup całkiem słusznie to zlekceważyli, są osobami wysoko postawionymi i dali to siostrze do zrozumienia w sposób dużo bardziej taktowny; a ja jestem prostak, człowiek ze wsi, proszę mi wybaczyć gwałtowność i szorstkość. Siostra Consuelo milczała przez chwilę, po czym spojrzała na zegarek i cichym głosem przeprosiła, że musi już iść: jest sobota i powinna uczestniczyć w modlitwie; wstała, skłoniła się, tak jakby zamierzała uklęknąć, i odeszła patrząc w ziemię i przyciskając do piersi teczkę.

A jednak w dwa tygodnie potem ta sama mniszka, z tą samą teczką pod pachą, podchodziła dróżką po zboczach wzgórza zmierzając w stronę dworu. Psy znów powitały ją histeryczną wrzawą. Nie sądzę, aby pan Aixelà chciał mnie widzieć, powiedziała służącej, ale gdyby się zgodził mnie przyjąć, zajmę mu tylko minutę. Zaraz mu to powiem, proszę siostry, odparła kobieta, w której spojrzeniu siostra Consuelo dostrzegła cień niepokoju. Może tamtego dnia słyszała filipikę dziedzica i teraz boi się jeszcze głośniejszej awantury, pomyślała, ale myli się, i to bardzo: żeby nie wiem jak mnie prowokował, zachowam spokój; muszę się zdobyć na uległość, za wszelką cenę, to moja powinność. Ale on przyjął ją z niemal ojcowską życzliwością. Przyszłam przeprosić za moje niezbyt grzeczne odejście tamtego dnia, powiedziała, zanim zdążył się odezwać, byłam zakłopotana i nie potrafiłam podziękować panu za szczerą. Nie musi siostra się tłumaczyć, odparł, byłem rzeczywiście bardzo popędliwy, a siostra wykazała się dużą stanowczością. A poza tym, przerwała mu mniszka, chcę panu podziękować za to, co określa pan jako popędliwość; to, co pan powiedział, jest nie tylko słuszne, ale i oczywiste, tylko że ja w swym zaślepieniu i pysze zapewne bym nic nie zrozumiała, gdyby pan się do mnie nie zwrócił w taki sposób. A zatem, powiedział dziedzic po krótkiej

przerwie, zawarliśmy pokój. To tylko rozejm, odparła siostra Consuelo z lekkim uśmiechem na ustach i w oczach. Widzę, że znowu przyniosła siostra tę swoją słynną teczkę, powiedział. Sprawdziłam rachunki, wyjaśniła. Dziedzic zaczął się śmiać. Proszę bardzo, wyjdźmy na ganek, powiedział rozsuwając zasłony. A ona na to: Jeżeli nie jest to nadmierne wykorzystywanie pańskiej cierpliwości i pańskiego czasu, to chciałabym, aby pan jeszcze raz spojrzął na ten kosztorys. Usiedli w wiklinowych fotelach; Augusto Aixelà wziął teczkę, którą mu podała, i wyciągnął z kieszeni futerał z okularami. Wcale mnie siostra nie wykorzystuje, powiedział zakładając okulary, tak naprawdę to bawi mnie siostry upór, nie mówię tego, żeby siostrze dokuczyć, dodał zaraz, lecz ze szczerego serca: proszę mi wierzyć, nie siedzielibyśmy tutaj, gdybym nie doceniał szlachetnych intencji i odwagi, z jaką stara się siostra zrealizować swe zamierzenia. Sprawdziłam rachunki, przerwała mu, i zrobiłam w zarysie projekt finansowy; jestem przekonana, że gdybym zdołała zgromadzić wymienioną tu sumę potrzebną na rozpoczęcie robót, mogłabym bez trudu uzyskać oficjalne wsparcie; gdy sprawa ruszy z miejsca, już mnie nie zostawią z niczym. Zobaczmy to, powiedział dziedzic otwierając teczkę. Chcąc ukryć zdenerwowanie wywołane całą sytuacją i wysiłkiem, jaki wkładała w zachowanie równowagi między łagodnością a postawą nieugiętej stanowczości, zakonnica podniosła się z miejsca i podeszła do papugi. Ptak wykonywał swój monotony taniec na obręczy: przenosił cały ciężar ciała to na jedną łapę, to na drugą, jednocześnie kołysząc głową; w tym powtarzającym się ruchu była pewna tępota i jakiś magnetyzm. Kiedy zakonnica znalazła się w zasięgu wzroku papugi, ta rozwarła dziób i powiedziała: Ave Mania Purissima, Siostra Consuelo wybuchnęła śmiechem, po czym spoważniała i zaczerwieniła się. Tak bardzo był pan pewny, że się jeszcze spotkamy? - powiedziała. Mam nadzieję, że siostry nie uraziłem, powiedział dziedzic nie podnosząc oczu znad kosztorysu, to tylko niewinny żart. Och nie, nie jestem obrażona, ale czy naprawdę uważa mnie pan za takiego uparciucha? Tak, ale cóż w tym złego? - odparł Augusto Aixelà, nieustępliwość to pewien sposób bycia: może służyć nagannym celom, lecz także cnocie i szlachetności. Zamknął teczkę i zapytał: Dlaczego siostra myśli, że mogę jej pomóc? Odpowiedź jest prosta, odrzekła zakonnica: ponieważ dysponuje pan niezbędnymi środkami. Kto siostrze powiedział, że jestem bogaty? Siostra Consuelo spuściła oczy i szepnęła: Takie rzeczy ludzie wiedzą. Ale siostra jest tu dopiero od miesiąca, odparł na to, proszę mi spojrzeć w oczy i powiedzieć prawdę: kto siostrze o mnie mówił? Wiele osób: chorzy, którzy zgłaszają się do Szpitala, lekarze, którzy mają nad nim pieczę, dostawcy, wszyscy; w tak małej miejscowości plotki są w ciągłym obiegu. Nie wszystkie są zgodne z prawdą, powiedział Augusto Aixelà. Nie, ale wszystkie z czegoś się biorą, odparła zakonnica. Co jeszcze o mnie siostra słyszała? - zapytał. Nic, czego warto by było słuchać, odparła ona. Dlaczego? Tylko moje pieniądze siostrę interesują? Interesują mnie tylko czyny, odparła mniszka, osąd moralny pozostawiam Najwyższemu. Nie mówimy o osądzaniu, tylko o tym, czy się w to czy tamto wierzy, powiedział dziedzic, siostra słyszała różne rzeczy o mnie i teraz ja pytam: czy siostra w to wierzy? A czy to ma dla pana jakiegokolwiek znaczenie, że wierzę lub nie? - zauważyła siostra Consuelo. Obchodzi mnie to i już, odparł krótko. Złożyła ręce na podołku, pochyliła głowę i skierowała na swego rozmówcę spojrzenie, którego intensywność

zadawała kłam tej pełnej skromności pozie. Jestem zakonnicą, powiedziała w końcu, poświęciłam życie modlitwie i trosce o chorych; o innych sprawach wiem bardzo mało i nie chcę wiedzieć więcej; to prawda, że opowiadano mi o panu najróżniejsze rzeczy, i dobre, i złe; w dobre nie mam powodu wątpić, a te inne dotarły do mnie w postaci złośliwych plotek; nie sądzę, aby były zgodne z prawdą, chociaż wiem, że jest to możliwe: wszyscy jesteśmy podatni na dobro i na zło. Przełknęła ślinę i mówiła dalej: Tak czy inaczej, jeżeli naganne czyny, przypisywane panu, rzeczywiście miały miejsce, nic na to nie poradzę, mogę tylko się modlić, aby Bóg pana oświecił, i to właśnie robię. Jak to? Siostra modli się za mnie?! Modlę się za wiele osób. Ale także za mnie. Tak, także za pana, powiedziała mniszka, to mój obowiązek... a poza tym coś mnie ku temu skłania, ale chciałabym jedną rzecz powiedzieć jasno: kiedy się modlę, to zwracam się do Boga, mam nadzieję, że mnie pan rozumie. Proszę mi zostawić tę teczkę, powiedział natychmiast Augusto Aixelà takim tonem, jakby rozmowa bardzo go już zmęczyła, jutro mam się zobaczyć z moim administratorem i chciałbym, żeby rzucił okiem na te rachunki, jeśli siostra nie ma nic przeciw temu; to człowiek dyskretny i lojalny, no i świetnie się zna na tych sprawach. Oczywiście, odparła zakonnicą ledwo dosłyszalnym głosem; on zaś dodał: Pojutrze wyjeżdżam w podróż; muszę być w Madrycie, mam do załatwienia ważną transakcję, rozumie siostra, jak to jest, nie wiem, ile dni będę poza domem, ale jak tylko wrócę, zaraz siostrę zawiadomię. Będę czekała na wiadomość od pana, rzekła siostra Consuelo powoli, tak jakby mówienie wymagało od niej wielkiego wysiłku; a jednak kiedy w tydzień później spotkali się w tym samym miejscu, nie było między nimi najmniejszych nieudomówień.

Wciąż trwał upał, a ciemne chmury, które częściowo przysłaniały ziejące żarem niebo, sprowadzały duchotę; gnane wiatrem, rzucały cień na pola; liście winorośli miały stalową barwę. Zakonnica pytała Augusta Aixelę o podróż i o wynik zabiegów, które zaprowadziły go aż do stolicy, a on opowiedział jej, że podróż była prawdziwą torturą, że pociąg miał jak zwykle opóźnienie i w końcu dowiózł go, wyczerpanego i od stóp do głów usmolonego pyłem węglowym, do Madrytu, gdzie było straszliwie gorąco: ulice ziały pustką, a rozmiękły asfalt kleił się do butów; na szczęście, dodał, hol hotelu, w którym mieszkał, posiadał doskonały system chłodzenia, nawet zbyt doskonały; co do reszty, dorzucił, to sprawa, dla której podjął tę niefortunną podróż, wydaje się zmierzać, przynajmniej jego zdaniem, ku ostatecznemu rozwiązaniu. Jednym słowem, zakończył, mimo pewnych kłopotów, wyprawa przyniosła zadowalające rezultaty. Widać więc, powiedział, że modlitwy siostry stale mi towarzyszyły. Chyba nie bardzo mogły się panu przydać moje modlitwy w załatwianiu spraw, o których charakterze nie mam najmniejszego pojęcia, rzekła mniszka. Siostra nie ma pojęcia, ale Pan Bóg ma, odparł pan Aixelà, i może Najwyższy, przekonany o tym, że niewiele już zdoła uczynić dla zbawienia mojej duszy, postanowił dopasować modlitwy siostry do spraw raczej doczesnych. Proszę sobie nie żartować z modlitwy i jej skutków, powiedziała na to, i niech pan nie próbuje mnie zgorszyć, bo się to panu nie uda; dobrze wiem, że tak naprawdę to nie myśli pan tego, co pan mówi, ale przekonałam się już, że w obecności osoby noszącej habit żaden mężczyzna nie potrafi się oprzeć potrzebie gadania głupstw. Tak jak siostra nie oprze się chęci besztania mnie niczym smarkacza, odparował Augusto Aixelà, ale nie kłóćmy się już, lepiej niech mi siostra opowie, co się działo w waszym smutnym Szpitalu, kiedy mnie tu nie było. Zakonnica wypita łyk lemoniady, podanej przed chwilą przez Pudencianę, usadowiła się wygodnie w wiklinowym fotelu, westchnęła i odparła: Prawdę mówiąc, niewiele się działo; we wtorek, z powodu niewybaczalnego niedbalstwa siostry furtianki, jeden z chorych cierpiący na zaburzenia umysłowe wymknął się ze Szpitala, poszedł do lokalu rozrywkowego „Ateneo” i przez dwie godziny, w piżamie i w kapciach, grał tam w bilard i nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. To zadziwiające, że w osiedlu, gdzie wielką ciekawość budzi prywatne życie sąsiada, mieszkańcy tak mało interesują się rzeczywistą sytuacją poszczególnych osób. Poza tym malowniczym przypadkiem, niewiele więcej mogę panu opowiedzieć: jak co roku, podstępna susza lada moment zrujnuje nam zapewne zbiór owoców; no i jeszcze to, że było nam pana brak. W Madrycie mówili mi, że tego lata były najwyższe temperatury stulecia, powiedział Augusto Aixelà, kiedyś, w południe, wziąłem na ulicy Alcala taksówkę i w połowie drogi musiałem wysiąść, bo w samochodzie naprawdę nie było czym oddychać. Czy pan zrobił to, co mi obiecał? - zapytała zakonnica. Czy pokazał pan mój projekt swemu administratorowi? Zrobiłem coś więcej, odparł, w Barcelonie pozwoliłem sobie zamówić fotokopię dokumentów i zabrałem ją do Madrytu mając nadzieję, że tam coś załatwię; no i rzeczywiście: wędrując korytarzami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, dokąd zaprowadziły mnie moje własne sprawy, natknąłem się na

dawnego uniwersyteckiego kolegę, który zajmuje wysokie stanowisko właśnie w naczelnym zarządzie Służby Zdrowia; rzecz jasna, potrzebowałem trochę czasu, aby mu opowiedzieć o tym projekcie, i chyba go nim zainteresowałam, bo następnego dnia jego sekretarz przyszedł do mego hotelu po kopię, którą wziąłem ze sobą, i w tej chwili wymarzone plany siostry powinny się znajdować w rękach samego naczelnego dyrektora; tak więc widzi siostra, że nie ma powodu, aby się na mnie złościć. A pan nie ma powodu wątpić w skuteczność modlitwy, odparła na to z oczyma pełnymi łez; po czym opanowała się, otarła powieki wierzchem dłoni i powiedziała: Naprawdę zrobił pan to dla mnie? Jak już siostrze mówiłem, odrzekł, była to bardzo owocna podróż, a w dodatku zdążyłem jeszcze zajrzeć do pewnego antykwariusza, który akurat nie zamknął swego sklepu na wakacje, i kupić tam bardzo interesujący przedmiot, chciałaby go siostra zobaczyć? Zakonnica spuściła wzrok i milczała przez chwilę; potem odparła: Byłoby mi bardzo miło, ale może innym razem; już za późno i ja także mam pewne sprawy do załatwienia w Szpitalu. Pozwoli siostra, że ją odwiozę samochodem, powiedział Aixelà. Błagam, niech pan tego nie robi, odparła mniszka ledwo dosłyszalnym głosem, już i tak nadużyłam pańskiej uprzejmości, a droga w dół nie jest męcząca. Wychodząc, przystanęła na progu gabinetu. Nie wiem, jak mam panu dziękować, wykrztusiła z trudem. Nie ma za co dziękować; czy siostra dobrze się czuje? - zaniepokoił się Augusto Aixelà. Tak, tak, bardzo dobrze, odparła, zapewniam pana; tylko może jestem trochę oszołomiona tym, co mi pan opowiedział. Czasami, dodała, kiedy wkłada się w coś całe serce, trudno nie ulec emocjom, to takie dziecinne, ja wiem. Wyszła z gabinetu, minęła sień, po czym, gdy znalazła się na zewnątrz i słoneczny blask zalał jej twarz, nie dostrzegła schodka za drzwiami, poślizgnęła się i byłaby upadła, gdyby nie podtrzymały jej czyjeś ramiona. Obejrząwszy się zobaczyła obrzękniętą twarz ogrodnika i poczuła jego zalatujący winem oddech; obejmował ją mocno, ale nie brutalnie, i miała wrażenie, że z jego twarzy zniknął głupkowaty wyraz. Kiedy tylko odzyskała równowagę, ogrodnik zaraz ją puścił i cofnął się o parę kroków; pełen szacunku, trzymał beret w ręku. Dziękuję, słońce mnie oślepiło i nie widziałam schodka, powiedziała zakonnica. Ruszyła w stronę ścieżki, a on podążył za nią: roślinność, odświeżona po niedawnych deszczach, nadawała temu miejscu dziki, niemal złowrogi wygląd. Nie musisz mnie odprowadzać, powiedziała mniszka, znam drogę. Idiota nadal deptał jej po piętach; przyspieszała kroku, on także. Uśmiechał się pokazując wspaniałe uzębienie. Boże miłosierny, pomyślała mniszka, żeby tylko nie spotkało mnie coś złego. Ledwie zdążyła to sobie w duchu powiedzieć, nagle zobaczyła dwa ogromne psy. Proszę się nie bać, wymamrotał przyglupek; wtedy zrozumiała, że on idzie za nią, aby ją chronić przed psami. Czy siostra jest ze Szpitala? - zapytał. Tak, odparła. Ach, wykrzyknął, to jest dobra robota, dobra robota.

W kilka dni później w całej Katalonii zaczęły padać ulewne deszcze, powodując wielkie szkody w Bassorze i okolicach. Katastrofa nie ominęła też osady San Ubaldo: wyschnięty strumyk, wyznaczający granice terenu szpitalnego od strony zachodniej, w ciągu paru godzin zmienił się w burzliwy i głęboki potok, który gdzieniegdzie występował z brzegów,

zatapiał zasiewy i tworzył odnogi ulice i place wstrętnymi nieczystościami. W niektórych dzielnicach, szczególnie w tych nowych, w niżej położonej części miasta, woda wtargnęła do domów i mieszkańcy musieli uciekać na wyższe piętra, a nawet na dachy. Ludzi starszych i ułomnych wydostawano z mieszkań przez okna. Ofiarny oddział strażaków nie mógł obsłużyć tylu potrzebujących, a ponieważ drogi były nieprzejezdne i sytuacja pobliskich wsi przedstawiała się tak samo rozpaczliwie, trudno było liczyć na czyjąkolwiek pomoc. Na domiar złego trąba powietrzna zniszczyła prawie doszczętnie sieć elektryczną, a także wodociąg doprowadzający pitną wodę; telefony nie działały; miasto było pozbawione światła i łączności ze światem. Te dodatkowe awarie ogromnie utrudniały akcję ratowniczą, którą przeprowadzano w ciemnościach, a którą doktor, nie będący jej uczestnikiem, lecz znający ją ze szczegółowych opisów, określił jako pełną „dantejskich scen”. W całkowitym mroku, mówił, rozlegały się rozdzierające krzyki i rozpaczliwe wołania o pomoc, a docierały one z miejsc, gdzie burza poczyniła największe spustoszenia. Koło trzeciej nad ranem, opowiadał dalej doktor, niezmordowani strażacy, wspomagani przez ochotników, ewakuowali wszystkich mieszkańców robotniczej dzielnicy El Arenal, gdyż ich domy, poważnie zagrożone, mogły w każdej chwili się zawalić. Mimo wszystko, dodał, liczba ofiar była dużo mniejsza, niż wskazywałyby na to początkowo rozmiary katastrofy, bo jak dotąd otrzymano wiadomość tylko o dwóch przypadkach śmiertelnych: w obozie cygańskim znajdującym się za miastem, tuż nad rzeką, utonęły dwie kobiety, jedna, młodziutka, miała może z piętnaście lat, a druga około sześćdziesięciu. Gdzie indziej jeszcze dwóm innym kobietom, matce z córką, groził ten sam los, gdy zawalił się mur, na który się wdrapały, ale w ostatniej chwili zostały uratowane. Tak czy inaczej, dorzucił doktor opuściwszy głowę, gdy tylko pozwolił na to zbliżający się świt, ekipy ratownicze rozpoczęły wymagające wielkiej odwagi przeszukiwanie zawalonych domów, bo podejrzewano, że mogą tam być zasypani ludzie. Rodziny pozbawione dachu nad głową umieszczano tymczasowo w szkołach i innych budynkach użyteczności publicznej, aż do momentu, kiedy z braku miejsca, nie chcąc nikogo pozostawić pod gołym niebem, trzeba było wykorzystać również parter kina „Avenida”, a nawet i hol, z którego usunięto, ze względu na przyzwoitość, ogromne reklamowe zdjęcie Marilyn Monroe w prowokującej pozie. Serce się kroilo, mówił doktor, na widok tych nieszczęśników, którzy tak nieoczekiwanie stracili wszystko i którzy widzieli, jak woda w kilka sekund unosi ze sobą majątek gromadzony mozolnie w ciągu wielu lat wyrzeczeń; teraz ci ludzie są w sytuacji bardzo niepewnej: gwałtownie wyrwani ze snu opuścili swe domy w środku nocy, w koszulach lub piżamach, i ledwie starczyło koców i materacy dla wszystkich. Z nadejściem dnia radio poinformowało tych, którzy mieli w domach elektryczność, że z Barcelony wyruszył konwój spieszący z pomocą powodzianom, a na czele tego konwoju znajdują się Jego Ekscelencja gubernator i prowincjonalny lider Falangi; jednakże, dodało radio, konwój ten, wiozący żywność, leki, ubrania i inne artykuły pierwszej potrzeby przeznaczone dla poszkodowanych, posuwa się z trudem z powodu złego stanu dróg, które, jak to określił spiker (przy czym jego drżący głos wskazywał, jak bardzo jest wstrząśnięty), tu i ówdzie „przypominają wezbrane rzeki”. Nie ma wątpliwości, że ten rok na zawsze pozostanie w naszej pamięci jako rok potopu, stwierdził doktor, przejęty swoją własną relacją, i zakończył ją

wyliczeniem wszystkich przeszkód, jakie sam musiał pokonać, aby dotrzeć do Szpitala, woda zniosła bowiem jeden z mostów na autostradzie i trzeba było robić duży objazd miejscami bardzo niewygodny i ryzykowny. Jeśli chodzi o decyzję przeoryszy w sprawie zamknięcia „sine die” sali operacyjnej, doktor powiedział, że nie ma żadnych zastrzeżeń. Prawdę mówiąc, przyjął ją z entuzjazmem: brakowało mu kilku lat do emerytury i funkcja lekarza naczelnego w Szpitalu zaczynała mu nadmiernie ciążyć. Im mniej pracy i odpowiedzialności, tym lepiej, rzekł sobie. Siostrze Consuelo te wydarzenia uświadomiły, jak bardzo w ciągu ostatnich tygodni zaangażowała się w projekt przebudowy Szpitala, stawiając wyżej własne urojenia niż palące potrzeby chwili. Żyję tylko swymi marzeniami, powiedziała sobie, tak dalej być nie może. Odłożyła na bok kosztorys, poświęcając cały swój czas i energię Szpitalowi. Ta zmiana postawy, spowodowana dramatycznymi wydarzeniami, o których szeroko rozpisywała się prasa, wyszła jej na dobre, ponieważ od wielu tygodni dręczył ją nieustający niepokój: nie mogła usiedzieć na miejscu, a wobec podwładnych była nad wyraz drażliwa i bardzo wymagająca. Co się ze mną dzieje? - mówiła sobie, robię się niezrównoważona i nieobliczalna. Humor miała zmienny: o świcie budziła się pełna niezwyklej radości, jakiej - o ile dobrze pamiętała - nie odczuwała nigdy w życiu; ale po kilku chwilach, kiedy powracała do rzeczywistości, opadały ją troski i niewytłumaczalny lęk i musiała przywoływać na pomoc cały swój rozsądek, aby powstrzymać zupełnie nieuzasadniony wybuch płaczu. Takie momenty drastycznych wewnętrznych sprzeczności, kiedy to nagle zdawała się pławić w szczęściu, by zaraz potem popaść w najgłębszą rozpacz, zdarzały się w ciągu dnia, całkiem nieprzewidziane i ambarasujące. Nie potrafiła doszukać się przyczyny tego braku równowagi, a ponieważ nie widziała w nim nic nagannego, nie rozmawiała o tym ze swym spowiednikiem, który zresztą nie bardzo mógłby jej pomóc. Był to ksiądz w podeszłym wieku, miejscowy i znany wszystkim jako „mosen” Pallares. Podczas wojny nieustannie ukrywał się, i po przeżytych wówczas wstrząsach był nieco upośledzony na umyśle. Zwykł opowiadać, jak to w chaosie pierwszych dni wojny, chcąc uniknąć aresztowania przez patrole, które tropiąc go przeszukiwały dom po domu, schował się w pustym grobowcu na cmentarzu; dwie zaprzyjaźnione osoby zamknęły go tam nakrywając grób kamienną płytą i obiecały, że przyjdą go wydobyć, gdy tylko niebezpieczeństwo minie. W tym strasznym miejscu, bez pożywienia, niemal bez powietrza i w całkowitej ciemności, spędził biedny ksiądz dwa dni i dwie noce. Nie mógł własnymi siłami podnieść płyty i bał się, że ci, co mieli go uratować, zostali ujęci albo uciekli, albo zdradzili go czy też nawet zapomnieli, w którym dokładnie miejscu znajduje się grób będący jego kryjówką. Był człowiekiem z natury bojaźliwym i zbyt starym, by znieść tego rodzaju przeżycia i nie załamać się; uważał, że nigdy nie zrobił nikomu krzywdy, i znał osobiście milicjantów, którzy teraz szukali go i chcieli zabić. Asystował przy narodzinach wielu z nich i polewał ich wodą chrztu świętego. Grozę jego sytuacji potęgowało przerażenie spowodowane nagłym odkryciem tego nieoczekiwanego oblicza ludzkiej natury, tej otchłani urazy i odziedziczonej po przodkach nienawiści. Smutek zawładnął nim do tego stopnia, że chwilami byłby wolał należeć raz na zawsze do świata zmarłych, który obecnie używał mu jedynie tymczasowego schronienia. Tylko tutaj panuje spokój, myślał. Czas, który minął od tamtych chwil, nie zatarł w jego pamięci

owych dramatycznych doświadczeń. Tak więc nie był to człowiek zdolny wyczuć i zrozumieć zmienność nastrojów i kaprysy kobiecej duszy, niedoświadczonej i zakłopotanej. Oby zawsze diabeł zastawał cię tak zapracowaną, mówił jej.

Pewnego dnia siostra furtianka zawiadomiła ją, że przyszedł z wizytą jakiś pan. Chociaż była bez reszty pogrążona w sprawach Szpitala, wiadomość ta przyprawiła ją o rumieniec. Zapytała, kto to taki, a siostra furtianka powiedziała, że jest to administrator don Augusta Aixeli. Siostra furtianka pochodziła z tych okolic i знаła tego osobnika. To od niej przeorysza dowiedziała się, że administrator nazywa się Pepet Bonaire i podobnie jak Pudenciana, z którą jest spokrewniony, należy do klanu Pelonesów. W Szpitalu cieszył się wielką sympatią, bo był uprzejmy i dobroduszny, a także dlatego, że jako administrator rodziny Aixelà miał zwyczaj osobiście wręczać datki i prezenty, którymi dwór wspomagał tę instytucję. Siostra Consuelo zastała go siedzącego na ławce w holu: nieduży mężczyzna, dość tęgi, o powolnych ruchach i chytrym spojrzeniu cwaniaka. Chociaż musiał już być w zaawansowanym wieku, bo zarządzał majątkiem Aixelów de Collbató jeszcze za czasów ojca obecnego właściciela, to jednak na widok przeoryszy skwapliwie zerwał się z miejsca i złożył głęboki ukłon. Pomimo upału miał na sobie welwetowe ubranie, szeroki pas i czapkę z daszkiem, a do tego długie buty, ubłocone od chodzenia po kałużach. Poprosiła, żeby przeszedł do jej gabinetu, a on odpowiedział, że nie zamierza pozostać tu dłużej, niż to konieczne. Prawdę rzekłszy, wyjaśnił, przyszedł tylko zwrócić teczkę, którą wręczył mu kiedyś don Augusto. A, w takim razie nie pozwolę panu odejść, póki nie usłyszę pańskiej opinii, wykrzyknęła siostra Consuelo, proszę wejść do gabinetu, a ja każę panu podać kawę z mlekiem i ciasto na miodzie; kawa jest wodnista, ale ciasto zostało upieczone tu, na miejscu, i podobno jest dobre, na pewno je pan zna. Rzeczywiście, znam je i przepadam za nim, ale nie chciałbym robić kłopotu; o ile mi wiadomo, siostry miały wiele zmartwień w tych dniach, gdy wylały rzeki, no i zamknęłyście definitywnie salę operacyjną. Podczas gdy administrator mówił to wszystko, prowadziła go do gabinetu, a on już nie protestował. Wszedłszy tam, rozmawiali chwilę o kosztorysie, ale siostra Consuelo prawie nie słuchała tego, co miał do powiedzenia zarządca dóbr; był to człowiek praktyczny, bardzo drobiazgowy, i zdaniem przeoryszy gubił się w natłoku szczegółów, z pewnością dość ważnych, ale bardzo przyziemnych. Jeżeli go jeszcze trochę posłucham, stracę wszelkie zainteresowanie projektem, pomyślała. Nic nie mówiąc zastanawiała się, jak by tu zmienić temat nie obrażając gościa. W końcu udało jej się skierować rozmowę na działania Augusta Aixeli w Madrycie. To naprawdę szlachetne i godne pochwały, że zajął się naszą sprawą z uszczerbkiem dla swoich własnych interesów, zauważyła siostra Consuelo, a ponieważ administrator ograniczył się do lekkiego skinięcia głową, dodała: zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, jak wielkie znaczenie mają one dla niego. No właśnie, przytaknął administrator. Don Jose, powiedziała mniszka, która nie śmiała używać zdrobniałego imienia Pepet zwracając się do administratora ani też nazwiska, pod którym był znany w okolicy, niech mnie pan nie posądza o niedyskrecję, ale nie wiem nic o tym, co było załatwiane w Madrycie; wiem, że to ma jakiś związek z Ministerstwem

Spraw Wewnętrznych i że chodzi o rzecz wielkiej wagi; nie chcę się wtrącać w czyje życie i jeśli to sprawa prywatna, proszę mi nic nie mówić; ale jeżeli, jak się domyślam, problem wykracza poza granice prywatności, a ja mogłabym w jakikolwiek sposób pomóc w przezwyciężeniu trudności czy po prostu ich złagodzeniu, to niech mi pan zaraz powie. Administrator uśmiechnął się, a potem spoważniał i znowu uśmiechnął się przelotnie, jakby dyskutował sam ze sobą; po czym spojrzał na zakonnicę, poprawił się w fotelu, skrzyżował ręce na brzuchu i powiedział: Nie mam pojęcia, w jaki sposób mogłaby siostra pomóc, chociaż, po prawdzie, to nigdy nic nie wiadomo; tak czy inaczej, zważywszy, że rzecz jest ogólnie znana, nie widzę powodu, abym nie miał zapoznać siostry z pewnymi faktami; zresztą jest siostra przeoryszą siostrzyczek ze Szpitala, a zatem ważną osobistością w naszym regionie. Przechylił się nieznacznie do przodu i rzekł: Będzie niedługo rok, jak pojawił się w górach rozbójnik. Chociaż od zakończenia wojny nie mieliśmy tu rozbójników, fakt ten nikogo nie zaniepokoił, w górach zawsze byli zbójcy, tak jak w miastach zawsze byli kieszonkowcy. Tak w ogóle, ciągnął dalej, to nie są źli ludzie: żyją w ciągłej ucieczce i byle tylko wykazali się odwagą i odrobiną pomysłowości, łatwo zdobywają sympatię; w końcu rozrywek nie ma tu wiele, a władzy nikt nie kocha. Stary administrator zaczął teraz mówić powoli, jak ktoś, kto zabiera się do opowiedzenia bajki: Kiedy byłem mały, mój ojciec (niech odpoczywa w pokoju) wspominał, że żył kiedyś w tych właśnie górach bandyta, który nazywał się Antonio Llobet, chociaż raczej znano go pod przezwiskiem Przystojniak, bo był to mężczyzna jak się patrzy i bardzo szykowny; dopóki nie zginął w starciu z żandarmerią, każdego roku przychodził na miejscowe zabawy: tańczył z wszystkimi dziewczynami ze wsi, czy ładna, czy brzydka, nie robiło mu to różnicy, żadnej nie przepuścił, a po zabawie wkraczał do tawerny, stawiał wino wszystkim, którzy tam byli, a sam chodził od stołu do stołu przepijając do każdego. A ja pamiętam ze swego dzieciństwa niejakiego Juana Budallesa, alias Śmierdziela, o którym wiele gadano: przychodził na korridy, od czasu do czasu odbywające się w Bassorze, i to on decydował, czy toreador zasługuje na jedno ucho byka, czy na oba, albo czy go należy zabrać z areny i wrzucić do rzeki, i to, co postanowił, wykonywano tak, jakby korridą zarządzał pan minister spraw wewnętrznych. Pewnego dnia ten bandyta wszedł do czyjś domu, prosząc jak zwykle o coś do jedzenia, a gospodarz, niby że to idąc po żywność do spiżarni, wysliznął się z domu, zamknął drzwi na klucz i uciekł w te pędy, nie pomyślawszy o tym, że zostawia żonę i dzieci. Przebiegł może z pół kilometra i natknął się na konny patrol złożony z dwóch żandarmów; pospieszcie się, panowie, u mnie w domu jest Śmierdziel. Ale bandyta, widząc nadjeżdżających cwałem żandarmów, strzałem wysadził zamek w drzwiach i rzucił się do ucieczki, choć wiele ryzykował: nie chciał się obwarować w domu, aby w razie strzelaniny nie stała się jakaś krzywda kobiecie i dzieciakom. Tej samej niedzieli, gdy wszyscy ludzie ze wsi wychodzili po mszy z kościoła, w drzwiach czekał Budalles ze swoją bandą; na jego widok ten, co go wydał, zęgnął się już z życiem, ale żona była szybsza: uklękła przed bandytą i powiedziała: Nie zabijaj mi go, panie Śmierdziel. Nie zabiję ci go, kobieto, powiedział jej na to, ale muszę mu dać lekcję, aby się nauczył trzymać język za zębami; a donosicielowi rozkazał: ściągnij no portki, gadzie jeden. Niechże się siostrzyczka uspokoi, wszystko się dobrze skończyło, zemsta ograniczyła się

do kilku batów. Mniej litościwa była władza, kiedy schwytano rozbójnika: na więziennym podwórku w Bassorze zadano mu garrote, haniebną śmierć przez uduszenie, a było to tego roku, kiedy zmieniał się wiek, i jedni mówią, że rok był tysiąc dziewięćsetny, a inni, że tysiąc dziewięćset pierwszy. Zakonnica z przerażeniem wysłuchiwała tej prostackiej opowieści, a stary administrator nabierał coraz większego animuszu przy swych wspominkach. Mógłbym tak cały wieczór opowiadać różne kawałki, siostrzyczko, i jeszcze raz mówię: bandyci byli zawsze i każdy miał swoje przezwisko i swoją legendę. Pedro Podpalacz, Niseto Bomba, Dynamit, Luisito Okularnik i nawet niejaki Saturnino, który podobno był kobietą, co uciekła w góry, jak ją zgwałcił taki jeden z katalońskiej straży obywatelskiej, no ale, krótko mówiąc, tak jak powiedziałem: to dobrzy ludzie i z nikim nie zadzierają, jeżeli się ich zostawia w spokoju. Przerwał na chwilę, zmarszczył brew i dodał: A przecież tym razem, i to bez wyraźnej przyczyny, don Augusto bardzo się zdenerwował. Najpierw mówił, że rozbójnik przewodzi licznej grupie i ma zamiar go uprowadzić; kiedy indziej, że to nie jakiś tam rozbójnik, tylko oddział partyzantów chce wyrównać rachunki za pewne zdarzenia z czasów wojny. Możliwe, że i w jednej, i w drugiej wersji jest trochę racji, bo porwania, owszem, zdarzały się, a co do tego drugiego, to na pewno pozostały jakieś niezabliźnione rany. Rzecz w tym, że nalegał na policję, żeby ruszyła w góry i położyła kres temu zagrożeniu, które on dostrzega; później, ponieważ obławy, jakie robili policjanci, nic nie dawały, pojechał do Barcelony, żeby domagać się od kapitana generalnego interwencji wojskowej. Kapitan generalny odmówił. Nawet w najgorszych latach walk z partyzantami rząd nie chciał mieszać w tego rodzaju sprawy wojska. Tak więc don Augusto wyjechał do Madrytu i tam na pewno się naprzykrza i wydeptuje korytarze, Bóg wie z jakim skutkiem. W każdym razie tyle mi powiedział. A czy w rzeczywistości nie pojechał z innych powodów, to nie moja rzecz; muszę już iść. Czy naprawdę pan myśli, że don Augustowi coś grozi? - zapytała przeorysza. Administrator wzruszył ramionami i wznosił oczy ku sufitowi. Co się stanie, to się stanie, powiedział. Nie chciała nalegać, bo nie wiedziała, czy administrator jest takim prostakiem, jak to wynikało z jego odpowiedzi, czy też, co było bardziej prawdopodobne, wolał nie stawiać kropki nad „i”.

Na pewno wie coś, czego mi nie mówi, pomyślała. Potem, gdy została sama w swej celi, postacie owych bandytów, które w opowiadaniu administratora przedstawiały się jej jako malownicze i nieprawdziwe, przybrały straszliwie realistyczny wygląd: wyobrażała sobie tych ludzi, kudłatych i dzikich, rzucających się z toporem na Augusta Aixelę, bezbronnego, ze zmierzwionym włosiem. Te urojenia, powstałe pod wpływem jej obaw, wydawały się ostrzegać ją przed nieuniknionym spełnieniem i pogrążały ją w rozpacz, jakby to było coś, co działo się właśnie w danej chwili.

Niewielka kwatery policji mieściła się przy ulicy, która z placu Kościelnego zbiegała w dół, aż do strumienia; dom był piętrowy, a jego bielone wapnem ściany nie wyróżniały się niczym prócz topornie wymalowanej na nadprożu hiszpańskiej flagi wraz z ogólnie znanym hasłem: WSZYSTKO DLA OJCZYZNY. Na chodniku drzemał wychudzony pies, którego obsiadły muchy. Przeorysza i siostra szafarka dyskretnie zajrzały do środka: był tam szeroki stół, na którym warczał czarny wentylator o mosiężnych skrzydełkach. Za stołem siedział policjant, wąsaty brzuchacz. Z pewnością nie oczekiwał żadnej wizyty w to upalne popołudnie, bo był w podkoszulku i wydawał się całkowicie pochłonięty lekturą przygodowej powieści. Tuż przy stole, na podłodze, można było dostrzec gliniany dzban, na wieszaku kurtkę i trójgraniasty kapelusz, a w kącie pod ścianą karabinek. Ten groźny widok sprawił, że obie zakonnice cofnęły się jednocześnie. Po cośmy tam chodziły, wielebna matko? - zapytała siostra szafarka, gdy szybkim krokiem wracały do siebie. Po nic, po nic, matko Millas, odparła przeorysza. Ich obecność nie pozostała niedostrzeżona przez policjanta, który w tej samej chwili, stojąc w drzwiach, zapinał się w pośpiechu, nie zauważywszy, że szelki zwisają mu po bokach; zbity z tropu patrzył na dwie biegnące mniszki, które z nie wyjaśnionych powodów przerwały jego wypoczynek.

Gdy przekraczały próg Szpitala, wyszła im naprzeciw siostra furtianka i oznajmiła, że ktoś czeka. To pan Aixelà! - wymamrotała robiąc miny. Przeorysza uśmiechnęła się: obecność tego mężczyzny, eleganckiego, bogatego i uprzejmego, wyraźnie wzburzyła siostrę furtiankę. Pozwoliłam sobie zaprosić go do gabinetu matki przeoryszy, powiedziała ona, wydało mi się, że byłoby niegrzecznie kazać mu stać w holu, po tym wszystkim, co mu zawdzięczamy! Dobrze siostra zrobiła, uspokoiła ją przeorysza, i zwracając się do szafarki dodała: Proszę się zająć swoją robotą, matko Millas, jeżeli będę matki potrzebowała, to ją wezwę. Oczy siostry szafarki zachmurzyły się. To zazdrość, pomyślała przeorysza, i zaraz rzekła sobie w duchu: Jakże ja mogę ją osądzać? I koniec końców, cóż wiem o tych sprawach? Zdecydowanym krokiem udała się do gabinetu i energicznie otworzyła drzwi. Augusto Aixelà szybko podniósł się z krzesła. Co się dzieje, do stu piorunów?! - zapytał. Zakonnica weszła do pokoju i zamknęła drzwi za sobą. Nic takiego, odparła. Zdawało mi się, że siostra chce mnie stąd wyrzucić siłą, powiedział. Ależ skąd, powiedziano mi, że ktoś mnie oczekuje, więc się trochę spieszyłam: nie lubię, kiedy się gościom każe czekać. Nie czekałem długo i tym razem to ja przyszedłem bez uprzedzenia, powiedział dziedzic, myślałem, że w taki upał będzie siostra w swojej celi, ale widzę, że wysokie temperatury wcale siostry nie przerażają. Miałyśmy niedawno, podczas powodzi, poważny kłopot z salą operacyjną i chciałam jak najprędzej, zgodnie z obowiązującymi mnie przepisami, wysłać listy ze sprawozdaniem do odpowiednich władz i do wielebnej Matki Prowincjalnej; postanowiłam iść na pocztę w porze, kiedy panuje względny spokój, powiedziała, po czym westchnęła, umilkła na chwilę i dodała już spokojniejszym tonem: Ale muszę przyznać, że jednak upał jest coraz większy; przepraszam pana. Przeszła przez cały gabinet, aż do stojącej pod ścianą sosnowej szafki, na której umieszczono dzbanek i fajansową miednicę. Nalała

wody do miednicy, umyła ręce i twarz i wytarła się wilgotnym i wystrzępionym ręcznikiem, który wisiał na gwoździu obok szafki. Kiedy się tak oporządzała, poczuła natrętny zapach gotowanej kapusty, którym nasiąknęła jej odzież i którego nawet na spacerze nie mogła się pozbyć. Czy siostry nie mają tutaj bieżącej wody? - zapytał za jej plecami Augusto Aixelà. W Szpitalu mamy, odpowiedziała, ale w domu mieszkalnym naszej wspólnoty nie. Mówiąc to otworzyła okno, podniosła miednicę i wylała jej zawartość na zewnątrz. Woda w rzece już opada, powiedziała. Wielebna matko, powiedział gość, czy zechciałaby matka zamknąć okno, odstawić miskę na miejsce i poświęcić mi trochę uwagi? Och, przepraszam, odparła speszona. Przyszedłem porozmawiać o projekcie, proszę mi nie mówić, że przestało to siostrę obchodzić, powiedział. Nie, nie, przeciwnie zaprotestowała zakonnica, skądże takie przypuszczenie? Jest to właściwość ludzkiej natury, że tracimy zapał, kiedy nasze marzenia zaczynają się materializować, powiedział Augusto Aixelà. Siostra Consuelo spoważniała: Ja nie żartuję, powiedziała dobitnie. Tak, wiem, odparł, i wiem także, że rozmawiała siostra z Pepetem. Zakonnica odparła: Pański administrator był łaskaw przyjść do mnie, obaj przyjrzelśmy się wnikliwie projektowi i poczynił kilka spostrzeżeń, niezwykle dla mnie pożytecznych. To człowiek o dużym doświadczeniu, powiedział Augusto Aixelà, jest w podeszłym wieku i z biegiem lat stał się nieokrzesany i gwałtowny, ale zna tutaj wszystkich i wszyscy go lubią i szanują; jeżeli mamy realizować ten projekt, jego pomoc będzie nieodzowna. Liczę na nią, odparła zakonnica, a czy mogę zapytać o powód pańskiej wizyty? Skłamałbym, gdybym powiedział, że jest jakiś powód, przynajmniej jeśli chodzi o ten projekt: ciągle nie mam wiadomości z Madrytu, odparł. Przez chwilę błędził wzrokiem po ścianach pokoju i dodał: Dowiedziałem się o powodzi i o zamknięciu sali operacyjnej i pomyślałem, że powinienem przyjść i zająć się tą sprawą: czuję się do pewnego stopnia odpowiedzialny za Szpital, odkąd siostra zapoznała mnie ze swoimi planami. Jeżeli to ja obarczyłam pana tym ciężarem, a nie pana własne sumienie, to zaraz mogę pana od tego uwolnić, odpowiedziała siostra Consuelo tym samym żartobliwym tonem, jakim mówił on, ale tak czy inaczej bardzo dziękuję za okazane nam zainteresowanie. Proszę mi nie dziękować, powiedział Augusto Aixelà, przyszedłem również dlatego, że brak mi było towarzystwa siostry i rozmowy z nią. Zaiste, bardzo mało rozrywek musi pan mieć tutaj, skoro bawi pana paplanina z biedną, nie znającą się na niczym mniszką, rzekła przeorysza. Niech siostra nie robi z siebie takiej obłudnicy, bo pójdzie do piekła, i to raz-dwa, a poza tym, przypominam, obiecała mi siostra, że obejrzy moją kolekcję dzieł sztuki, powiedział dziedzic. Wcale nie obiecałam i pan dobrze wie, że nie mogę tego zrobić, odparła z odrobiną smutku w głosie. Przeciwnie, powiedział, myślę, że siostra może i powinna; moja kolekcja składa się z dzieł sztuki sakralnej, nie ma w niej nic bluźnierczego; dla mnie to tylko sztuka, ale siostra może ją uznać za piękną i zarazem budującą, taką, jaką dla mnie może się okazać bliskość osoby zrównoważonej i szlachetnej. Czy to się odnosi do mnie? - spytała zakonnica, nieco zmieszana; nie wiedziała, jak ma przyjąć tę dziwną argumentację. On popatrzył na nią uważnie. Czy nie pomyślała siostra, że Opatrzność postawiła mnie na siostry drodze w jakimś określonym celu? - powiedział. Czasami się zastanawiam, kto rzeczywiście postawił pana na mojej drodze, szepnęła zakonnica. No więc jak? Przyjdzie siostra? - nalegał dziedzic; i zanim zdążyła odpowiedzieć, dodał: Proszę wziąć ze sobą

siostrę szafarkę, jeśli uzna to siostra za stosowne.

Psy nadbiegły ze szczekaniem, ale kiedy znalazły się przy niej, obwąchały jej odzież i uspokoiły się; mimo to siostra Consuelo czekała nieporuszona, póki nie zjawiała się Pudenciana. No proszę, rozpoznały siostrę, zauważyła służąca. Tak, powiedziała zakonnica; mój habit raz czuć eterem, kiedy indziej kapustą, a jeszcze innym razem mydłem, a jednak one zawsze rozpoznają osobę, która go nosi, jak im się to udaje? Do niektórych rzeczy mają więcej sprytu niż my, orzekła służąca, czasem to mi się widzi, że potrafią nawet wywęszyć, kto przychodzi z dobrymi zamiarami, a kto nie. Siostra Consuelo ostrożnie wyciągnęła rękę ku jednemu z psów i przekonawszy się, że ten gest nie wywołał u niego wrogiego odruchu, pogłaskała go po głowie. Chyba pani trochę przesadza, powiedziała do stróżki. Kiedy szły w stronę domu, natknęły się na ogrodnika; niósł na ramieniu na pół zwinięty wąż do podlewania, którego zwisająca metalowa końcówka żłobiła w ziemi krętą brudę. Kiedy go mijiała zakonnica, wpatrywał się w nią z otwartymi ustami. Zamknijże tę gębę, gamoniu, bo ci mucha wpadnie, powiedziała mu Pudenciana. Poprzednim razem był dla mnie bardzo grzeczny, odezwała się zakonnica, odprowadził mnie do samej furtki i bronił przed psami. E tam, on sam nie wie, co robi, powiedziała Pudenciana, jak był mały, złapał jakąś gorączkę i już tak mu zostało: nie myśli i nie rozumie. Siostra Consuelo spojrzała w oczy idioty i zobaczyła w nich nieruchomą pustkę. Wzdrygnęła się i szły dalej, aż znalazły się przed domem. Czy pan dziedzic umówił się z siostrą na tę godzinę? - zapytała służąca, kiedy już były w sieni. Umówił się, ale nie na tę godzinę, odparła zakonnica, a właściwie powiedział, żebym przyszła go odwiedzić, ale nie podał dokładnej godziny, więc może źle zrobiłam? O nie, niech siostra przychodzi, kiedy tylko zechce, i oby siostry obecność dobrze na niego wpłynęła, powiedziała kobieta, tylko że pan dziedzic dziś rano był na polowaniu, a teraz odpoczywa; no bo wiadomo, na polowanie to trzeba wstać przed świtem. Ale pójdę i go zawołam, dodała. Mowy nie ma, proszę mu dać się wyspać, przyjdę kiedy indziej, powiedziała natychmiast zakonnica. Po czym ośunęła się na jedno z wyplatanych krzeseł i jakby przecząc temu, co mówiła przed chwilą, oznajmiła: Poczekał tutaj, aż wstanie. Pudenciana drapała się w kędzierzawą głowę. Pójdę zrobić siostrze lemoniady, powiedziała w końcu. Nie, proszę się nie trudzić, nie chce mi się pić, co pani miała na myśli mówiąc, że mogłabym wywrzeć dobry wpływ? - zapytała. Pudenciana znowu podrapała się w głowę. Pan dziedzic potrzebuje jakiejś dobrej duszy, która by go z powrotem skierowała na prostą drogę, oświadczyła. Więc tak z nim źle? - zapytała mniszka. Kobieta odpowiedziała chytrym uśmieszkiem, który zupełnie nie pasował do poważnego tonu rozmowy. Ach, siostro, gdyby te ściany mogły mówić! - westchnęła. Przeorysza wstała. Ściany nie mogą mówić, Pudenciano, ale pani może, powiedziała, i jeżeli ma pani odrobinę szacunku dla krzyża, który noszę przy pasku, to w imię tego krzyża proszę mi wyznać, o co chodzi. Służąca otworzyła usta, zdumiona tak miażdżącą przemową. Boże święty, wymamrotała, niech siostra się tak nie przejmuje tym moim gadaniem: jestem prosta kobieta, co ja mogę wiedzieć? Proszę nie udawać głupiej, przerwała jej zakonnica, od dwudziestu lat zajmuję się chorymi i słucha mnie trzynaście

mniszek. Znam wszelkie wykręty i podstępne sztuczki, jakie jest w stanie wymyślić ludzka głowa. Służąca przy Sūnēla krzesło do tego, które zajęła przedtem zakonnica, i obie usiadły. Największy kłopot jest z kobietami, powiedziała nie spiesząc się, tak jakby się szykowała do wyłożenia trudnej i niezrozumiałej teorii, to go marnuje; jak się na niego spojrzy, nikt by tego nie powiedział, bo jest taki poważny i grzeczny, ale jak to mówią, zło gryzie człowieka od środka. Już jako dziecko, ciągnęła dalej, miał diabła za skórą, a teraz, w dorosłym życiu, wcale się nie zmienił, a to nie jest dobrze, proszę siostry, ani dla zdrowia, ani dla gospodarstwa, ani dla zbawienia duszy, i bardzo mnie to trapi; chłopaki to wiadomo, taka ich natura, że się łajdaczą, ale pan dziedzic przysporzył nam tu wielu zmartwień: kto sieje w cudzym ogrodzie, ten potem zbiera nienawiść i gwałt. Nagle zerwała się z miejsca i oświadczyła: Jestem z tego domu i nie mogę powiedzieć nic więcej. Zanim zdążyła wyjść (jeśli rzeczywiście miała taki zamiar), siostra Consuelo podniosła się i wzięła ją pod ramię. Obie spacerowały tam i z powrotem po sieni, głowa przy głowie, a ich szepty ginęły w półmroku surowego pomieszczenia. I nie znalazła się taka, przy której by się ustatkował? To było dawno, odparła służąca, wiele lat temu. Była pewna kobieta, która go kochała; nie tak jak inne, co to tylko żeby się nadokazywać i wyhasać, za przeproszeniem, a potem do widzenia i tyle; tamta traktowała go poważnie, ale nie mogło nic z tego być; pewnie myślała, że z miłości potrafi mu wybaczyć przewinienia i przyjąć go takim, jaki był, a może i zmienić na lepsze; nie dała rady. Dlaczego? Co się stało? A cóż ja biedna mogę wiedzieć, uzalała się służąca, cały dzień między kurnikiem a kuchnią, co ja mogę wiedzieć? Podobno on ją tak dręczył, że aż rozum straciła, o gdyby te ściany przemówiły! I pewnego pięknego dnia jużesmy jej nie zobaczyli, odeszła i więcej nie wróciła, a po jakimś czasie zaczęła krążyć pogłoska, że umarła, i to straszną śmiercią, no i nic więcej nie wiem. Stróżka przerwała na chwilę, tak jakby wspomnienie owego cudzego nieszczęścia ciążyło jej na sumieniu. Ja też byłam wtedy bardzo młoda, podjęła trochę od rzeczy, i dopiero co skończyła się wojna; on zjawił się we wsi razem z żołnierzami, jego ojciec, który jeszcze żył, został we Francji i tam w bezpiecznym miejscu przetrwał całą wojnę, ale on, gardząc tym bezpieczeństwem, jakie mu proponowano, przedarł się przez linię frontu i poszedł walczyć razem ze swoimi, miał pistolet u pasa i trzeba było widzieć, jak świetnie wyglądał w mundurze Falangi, wszystkie dziewczyny do niego wzdychały, panny i mężatki, ale może mężatki bardziej. Zakonnica zatrzymała się w pół drogi i puściła ramię służącej. Ja nic nie wiem o takich sprawach, powiedziała stanowczo, dlaczego mi pani o tym opowiada? Pudenciana spuściła oczy, w obawie że się zagalopowała. Siostra może dużo zrobić dla niego, jestem pewna, szepnęła zmieszana, siostra jest święta, to widać po twarzy, siostra ma spojrzenie świętej.

Wejście Augusta Aixeli przerwało w tym momencie ich rozmowę. O czym tak plotkujesz, Pudenciano? - zapytał głośno. Służąca stłumiła okrzyk. Augusto Aixelà miał na sobie jedwabny szlafrok, spod którego wystawały nogawki prążkowanej piżamy. W jego spojrzeniu był powściągany gniew, co przestraszyło Pudencianę. Rozmawiałam z siostrą, wymamrotała drżąc na całym ciele. Siostra Consuelo ponownie ujęła ją pod ramię i

uśmiechnęła się do niej, jakby chcąc powiedzieć: Nie bój się, nie powiem ani słowa z tego, co mi mówiłaś. Dużo gadania i nawet szklanki wody nie podałaś, co siostra pomyśli o naszej gościnności, skarcił ją dziedzic, a czemuś mnie nie zawołała? Chciała to zrobić, ale jej nie pozwoliłam, wtrąciła zakonnica, bo słyszałam, że był pan na polowaniu. Tak, to prawda, ale proszę nikomu o tym nie mówić, jeszcze się nie skończył czas ochronny. Idź już, Pudenciano, ale nie odchodź daleko, bo możemy cię potrzebować, dorzucił nie odrywając oczu od mniszki, a siostra niech mi wybaczy, że ją przyjmuję w tym stroju, położyłem się na kilka minut; proszę do gabinetu, niech siostra będzie tak dobra i poczeka, przebiorę się i jestem do usług.

Ledwo służąca zniknęła, przeorysza, korzystając z tego, że dziedzic jeszcze się nie wycofał powiedziała szybko: Nie mogłam przyjść z którąś z sióstr, jak to mi pan radził, bo w Szpitalu jest mnóstwo roboty. Wobec tego, odparł Augusto Aixelà, nim zamknął drzwi gabinetu, podwójne dzięki za wizytę. Zostawszy sama w gabinecie, zakonnica jęła się przechadzać tam i z powrotem, nagle bardzo zdenerwowana. Czemu ja tu przyszłam? I co tutaj robię? - zadawała sobie pytanie. Och, nie muszę się tłumaczyć; Bóg mnie widzi; ale czy mnie rozumie? Ta myśl, sformułowana raczej bez udziału jej woli, sprawiła, że zatrzymała się, ogarnięta przerażeniem. Cóż ja mówię? Muszę być szalona, skoro coś takiego pomyślałam; co się ze mną dzieje? Rozejrzała się dokoła, jakby z tych połamanych rzeźb mogła spłynąć odpowiedź na jej wątpliwości. Na jednej ze ścian zobaczyła wiszące staroświeckie lustro; przyzwyczajonej do surowego klasztorowego życia jej własne odbicie wydało się czymś niezwykłym, więc wiedzioną ciekawością podeszła bliżej; w zniszczonej tafli zwierciadła pojawiła się ledwie rozpoznawalna twarz, której oczy patrzyły na nią z dziwną intensywnością. Półmrok gabinetu sprawiał, że lustro wydawało się jakąś próżnią, w której unosiła się ta zgnębiona twarz. Duszę się, pomyślała, potrzebuję powietrza, bo jeszcze tu zemdleję. Próbowwała otworzyć drzwi prowadzące na ganek, ale nie udało jej się odsunąć rygla; ani siła, ani zręczność nie były posłuszne jej chęciom. Zdyszana przebiegła przez gabinet i wpadła do sieni; krzesła, na których ona i służąca siedziały pochłonięte poufną rozmową i zwierzeniami, nadal stały obok siebie, naruszając pełną prostoty symetrię umeblowania. Zakonnica przeszła przez środek sieni, otworzyła drzwi, którymi wymknęła się Pudenciana chcąc uniknąć gniewu dziedzica, i znalazła się w pograżonej w ciemnościach izdebce. Powstrzymała ją na chwilę odpychająca woń, którą dobrze знаła, ale której nie spodziewała się w tym domu. Dotykając po omacku ścian, natrafiła na wyłącznik, przekreśliła go i wtedy zapaliła się nie osłonięta niczym żarówka wisząca na drucie pod sufitem. W jej świetle mogła zobaczyć, że jest to pewnego rodzaju spiżarnia, której jedną ścianę całkowicie zasłaniała półka z glinianymi naczyniami; na drugiej, na metalowym pręcie, wisiało na dwóch tuzinach haków tyleż świeżo zabitych, ociekających krwią królików. Zwierzaki zdawały się patrzeć na nią stamtąd, z wyrazem szaleństwa w oczach, którym strach nadał niezwykłą dzikość. Krew, spływająca z tych smutnych kiści, kapiała z matowym i nierównym postukiwaniem do aluminiowej miednicy. Zakonnica, pełna litości i odrazy, cofnęła się chcąc wrócić do sieni, ale w tym momencie natknęła się na Augusta Aixelę, który niepostrzeżenie stanął

za jej plecami. Krzyknęła ze strachu dygocąca i bliska zemdlenia. Proszę się nie bać, powiedział głośno dziedzic podtrzymując ją za ramiona, to tylko martwe króliki. Którędy pan tu wszedł? - zapytała zakonnica cichutkim głosem. Przez drzwi, tak jak siostra; czy komet na pewno nie wpływa źle na słuch? Już drugi raz nam się to zdarza. Możliwe, powiedziała siostra Consuelo, odzyskując równowagę i zsuwając ze swych ramion dłonie mężczyzny, nie omieszkam przyjść do pana, ilekroć złapie mnie czkawka.

Po czym dodała marszcząc brwi: Więc to jest to, co pan zabił dziś rano? Nie dostrzegając, że przeorysza patrzy na niego z wyrzutem, odparł: Bywały lepsze dni, ale nie mogę narzekać. Popatrzył z dumą na wiszące rzędem nieżywe stworzenia i dodał: każę zapakować kilka królików, żeby je siostra zabrała dla Szpitala, ja sam nie miałbym co robić z taką ilością mięsa. Dziękuję w imieniu Szpitala, powiedziała zakonnica, ale jeżeli nie chciał pan mięsa, to po co było zabijać? Dla sportu, odparł zdumiony Augusto Aixelà, polowanie już od lat nie jest sposobem zaopatrywania się w żywność, tylko rozrywką, a skoro taki jest jego cel, nie powie mi siostra, że ta wiadomość ją zaskoczyła. Nie, ale nie rozumiem, co to za przyjemność zabijać żywe istoty. Czy zawsze musi mnie siostra łąać? - zaprotestował. Przecież tak to już jest z królikami, no nie? Gdybyśmy ich nie zabijali, spustoszyłyby nam pola, wszędzie by się wdarły, siostra wie, jak szybko się mnożą i jakie są żarłoczne, to szkodniki; a zresztą, co w tym złego, że zabijamy zwierzęta? Apostołowie łowili ryby, a zatem także i Bóg żąda tej śmierci. Wcale nie żąda, odparła mniszka, tylko pozwala na nią, a to jest różnica. Augusto Aixelà zaczął się śmiać. Może jednak z tą rozmową na tematy teologiczne przeniesiemy się w jakieś przyjemniejsze miejsce? - zaproponował. Siostra Consuelo skinęła potakująco głową; wstyd jej było, że wszczęła ten spór. Polowanie nie budziło w niej sprzeciwu; jako dziecko często widywała swego ojca i braci wracających z pola: nieśli strzelby i torby pełne zajęcy i kuropatw. W tamtych czasach sama pomagała zastawiać potrzaski i łapała na lep drozdy i skowronki, które następnie, upieczone, pojawiały się na stole. Moje rozdrażnienie to skutek tej przykrości, której doznałam przed chwilą, pomyślała, nerwy mnie zawodzą, już nie panuję nad swymi reakcjami: dopiero co, w gabinecie, zachowałam się jak histeryczka, a teraz w tym ponurym miejscu czuję się dobrze, jestem spokojna, a nawet pozwalam sobie na żarty i rozprawiam o moralności. Ach, nie ma co się oszukiwać: to jego obecność spowodowała tę zmianę; ale jak ja mogę czuć się tak bezpieczna przy nim, po tym wszystkim, co mi opowiedziała Pudenciana? E tam, te straszne historie są na pewno zmyślane; w przeciwnym razie nie byłabym taka spokojna, powiedziała sobie.

Znowu weszli do sieni, a potem po schodach na piętro; posuwali się teraz długim i szerokim korytarzem, na którego ścianach wisiały ogromne portrety. Przez szpary między zasłonami, chroniącymi obrazy przed słońcem, wpadały promienie światła, ukazując niezliczone drobinki kurzu fruwające w powietrzu. Malowidła były uroczyste i bez wyrazu, ale ich rozmiary i kolorowe stroje portretowanych osób nadawały im imponujący wygląd; wszystkie, nawet te przedstawiające dzieci, z pewnością zmarłe u zarania życia na odrę lub koklusz, otaczała jakaś aura próżności, co sprawiało, że wydawały się antypatyczne. Augusto Aixelà słowem się nie odezwał na temat tych obrazów czy osób, które na nich widniały, nawet nie otworzył ust, aby coś powiedzieć do swego gościa. Korytarz doprowadził ich do okrągłego salonu o wysoko sklepionym suficie; ściany miały jedwabne obicia, a sufit zdobiły wstydlive alegoryczne postacie trzymające w umięśnionych ramionach kwiaty i owoce. Na komodach, w oszklonych szafach i na sekretarach połyskiwało srebro, a sztywne malunki na porcelanie nabierały żółtego odcienia w ciepłym przedwieczornym blasku sączącym się przez firanki. I tu też się nie zatrzymali.

Weszli do umeblowanej z mniszą prostotą sypialni, przesyconej zapachem kamfory; łóżko z toczonymi kolumnkami było pościelone, tak jakby ktoś stale tu przebywał, a na biurku stał dzbanek z polnymi kwiatami. Zanim siostra Consuelo zdążyła dać wyraz swemu zdumieniu, Augusto Aixelà powiedział: To była sypialnia mojej matki, która tutaj spędziła wiele długich lat, gdy chorowała, i tutaj umarła; my obaj, mój ojciec, a potem ja, zachowaliśmy to pomieszczenie w takim samym stanie, w jakim było, kiedy ona je opuściła; służba ma polecenie utrzymywać tu porządek i zmieniać pościel, ale od tamtego dnia nikt tu nie spał. Czasami, dodał zniżając głos, przychodzę do tego pokoju na chwilę, sam, i siadam na tym krześle, na którym ona lubiła przesiadywać godzinami, wyglądając przez okno... Pozwoliłem sobie przyprowadzić siostrę tutaj, bo chciałem, żeby siostra to zobaczyła; nigdy nikomu nie pokazywałem tej sypialni. Siostra Consuelo podeszła do okna i rozchyliła kretonowe zasłony; ujrzała nisko w dole sad i staw, po czym zasunęła zasłony z powrotem i oparła się o brzeg biurka. Augusto Aixelà ujął ją pod ramię. Ależ siostra zbladła, dobrze się siostra czuje? Nic nie mówiąc pozwoliła się prowadzić przez cały dom, aż znaleźli się na ganku. Tutaj papuga przywitała ją swoim piskliwym i mechanicznym aktem strzelistym. Zbliżał się wieczór.

Proszę usiąść, każę podać coś do picia, powiedział dziedzic. Nie, niech się pan nie trzusi... i niech pan nie odchodzi, poprosiła zakonnica, ten spokój lepiej na mnie podziela niż cokolwiek innego i nigdzie nie poczuję się tak dobrze jak tu. Zamknęła oczy i siedziała nieruchomo; jej twarz zachowała tę samą bladość, a klatka piersiowa poruszała się jak po wyczerpującym wysiłku. Trwało to jakiś czas. Augusto Aixelà przyglądał się jej

w milczeniu. Bez żadnego uprzedzenia, dyskretnie, pojawiła się Pudenciana ze szklanką zimnej wody. Dziedzic wziął szklankę i bez słów dał znak służącej, żeby ich zostawiła samych. Potem dotknął wolną dłońią policzka zakonnicy i poczuł, że jest ciepły jak w gorączce. Ona zaś, czując dotyk jego ręki, otworzyła oczy i zwróciła ku niemu spojrzenie pełne najgłębszego smutku. Proszę napić się wody, powiedział podając jej szklankę. Zakonnica wypiła całą wodę małymi łykami, po czym wstała i wyszła, bez wyraźnego powodu opuszczając ganek, jakby w odpowiedzi na wezwanie kogoś z zewnątrz. Augusto Aixelà wciąż siedział na swym miejscu; zobaczył, że zakonnica przechodzi przez ogród, a potem znika pod łukowato przyszyżonymi cyprysami tworzącymi rodzaj wejścia do sadu; wtedy podniósł się i ruszył za nią z umyślną powolnością. U wejścia do sadu przystanął i patrzył: zakonnica szła ścieżką pomiędzy zasianymi grzędami, zatopiona w myślach. Rozumiejąc, że nie chce, aby jej przeszkadzano, dziedzic stał w miejscu, nie robiąc nic, co by zdradziło jego obecność. Zagrzmiało; podniósł oczy i ujrzał nadciągające burzowe chmury. Dogonił siostrę Consuelo już nad stawem i powiedział: Zaraz zacznie padać, lepiej wejdźmy do domu. Ale ona nie dosłyszała tego, co mówił: pochylona nad brzegiem patrzyła zafascynowana w mętną wodę. Proszę się za bardzo nie zbliżać, ostrzegł ją Augusto Aixelà stając tuż obok, to zdradliwy staw: tu jest dużo głębiej, niż się wydaje, a brzegi są śliskie od mułu, nie ma czego się chwycić; ludzie powiadają, że dawno temu utopiła się tutaj nieszczęśliwa zawiedziona dziewczyna i podobno od tej pory miejsce to jest przeklęte. Zakonnica przeżegnała się, nie odrywając jednak wzroku od stawu. Chmury zakryły niebo i zaraz powierzchnia wody poczerniała; przez chwilę cień obłoków kładł się na niej tworząc nieokreślone kształty jakichś postaci, które zdawały się zamieszkiwać ciemną głębię; ale zanim nabrały one jakiegokolwiek wyrazu, z nieba zaczęły padać grube krople i na wodzie powstało mnóstwo małych kręgów. Krople zmieniły się wkrótce w ulewę. Ponieważ zakonnica wciąż tkwiła bez ruchu, obojętna na deszcz, Augusto Aixelà objął ją za ramiona i zmusił do odwrotu. Szybciej, bo przemokniemy, krzyknął na tyle głośno, by go usłyszała poprzez huk grzmotów. Razem pobiegli w stronę domu błotnistą dróżką przez sad. Za kurtyną deszczu, wstrząsaną wiatrem, z trudem zdołali dojrzeć niewyraźne zarysy cyprysowej bramy. Augusto Aixelà nadal podtrzymywał siostrę Consuelo, jak gdyby nie chcąc dopuścić, żeby przewrócił ją porywisty wicher, który chłostał gałęzie drzew i przyginał do ziemi łodygi pomidorów. Ona zaś pozwalała się prowadzić czy niemal nieść, uległa i słaba, tak jakby jej z natury silne ciało przejęło tę słabość od zgnębnego i upadającego ducha. Dotarłszy do ganku zatrzymali się i przez kilka chwil stali objęci uściskiem; przestraszona papuga skrzeczała; Augusto Aixelà zbliżył usta do ust zakonnicy, ale ona odSūnęła go delikatnie i ze słodyczą. Nie, szepnęła. Wyzwoliła się z jego ramion, zrobiła krok ku drzwiom łączącym ganek z gabinetem i weszła do środka. Augusto Aixelà poszedł za nią; wewnątrz czekała ich niespodzianka.

Na środku gabinetu stał wyprostowany komendant policji i z zainteresowaniem obserwował wtargnięcie tej nieprawdopodobnej pary w ubłoconych ubraniach; sam był w płaszczu i trójgraniastym kapeluszu, ale karabinek zostawił oparty pod ścianą. Do

cholery, Lastre, pan tutaj, wykrzyknął dziedzic, i zanim gość zdążył odpowiedzieć na to powitanie, dodał: Złapała nas ulewa, kiedy byliśmy w sadzie, i przyszliśmy przemoknięci do suchej nitki. To niepotrzebne wyjaśnienie zdradzało, jak bardzo jest speszony, co też zostało zauważone przez komendanta. Zarówno Augusto Aixelà, jak i siostra Consuelo zastanawiali się, czy ten człowiek zobaczył przez okno scenę, jaka rozegrała się na ganku. Chyba się państwo nie znacie, powiedział pan domu odzyskując swą zwykłą swobodę, komendant Lastre odpowiada za spokój i porządek w tej okolicy, a to nie zawsze jest łatwe; siostra Consuelo jest dyrektorką Szpitala. Komendant uniósł dłoń do kapelusza, ale w momencie kiedy miał zaszalutować, znieruchomiał, zawahał się i wreszcie, uznając, że to będzie bardziej odpowiednie, zdjął kapelusz przed zakonnicą; ona już przedtem skłoniła głowę, toteż cała ceremonia poszła na marne; przemoczone skrzydła krochmalonego kornetu opadały jej na twarz. Czyśmy się już gdzieś nie widzieli, siostrzo? - zapytał komendant. Zakonnica pamiętała nieudaną wizytę w komisariacie, ale postanowiła o niej nie mówić. Może minęliśmy się kiedyś na ulicy, odparła ze skromną miną, której sztuczność wywołała uśmiech na twarzy dziedzica. Wszystkie są takie same, pomyślał, i zwrócił się do komendanta: Bardzo żałuję, że nie mogę pana przyjąć tak, jakbym pragnął, ale siostra Consuelo musi jak najszybciej wrócić do Szpitala, o ile nie chcemy, żeby się nabawiła zapalenia płuc. Komendant prawidłowo zrozumiał ten zawołany rozkaz, jaki mu wydał dziedzic, i powiedział: Z przyjemnością wezmę to na siebie i jeżeli państwo pozwolą, osobiście odwiozę siostrę do Szpitala; akurat przyjechałem landroverem, przewidując oberwanie chmury, co też się stało; biorąc pod uwagę stan dróg, będzie siostra bardziej bezpieczna w moim samochodzie. Służby meteorologiczne, dodał, zapowiedziały gwałtowną wichurę i władze zarządziły użycie wszelkich środków, aby uniknąć tego, co się stało ostatnio w Bassorze i innych miastach Katalonii. Ludność była jednak zaniepokojona, rzekł. A co do sprawy, która mnie tutaj sprowadziła, ciągnął dalej, to nie jest ani specjalnie nagląca, ani wielkiej wagi; może jutro pozwolę sobie wpaść do pana, don Augusto, chyba że wolałby pan sam zajrzeć do komisariatu. Niech pan wpadnie, Lastre, odparł dziedzic, jeżeli czas i obowiązki na to pozwolą, to razem spróbujemy tej suszonej hiszpańskiej szynki, którą właśnie mi przysłano i która aż się prosi o zjedzenie. Komendant z powrotem włożył kapelusz i zaszalutował po żołniersku. Usunął się na bok, aby Augusto Aixelà mógł otworzyć drzwi; zakonnica wyszła do sieni nie podnosząc oczu, a obaj mężczyźni podążyli za nią. Na dworze wciąż lało jak z cebra. Podjadę samochodem pod drzwi, powiedział komendant opatulając się w płaszcz, spod którego fałd wyzierała pokryta rdzoodporną farbą lufa karabinu. Korzystając z nieobecności nieproszonego świadka, Augusto Aixelà ujął lodowatą dłoń zakonnicy w swoje ręce i przyciągnął ją do siebie. Proszę przyjść jutro, powiedział. Cofnęła dłoń i przecząco pokręciła głowę. To przynajmniej spójrz mi w oczy, upierał się, ale ona tylko powtórzyła ten sam gest. Samochód zatrzymał się przed wejściem. Nie zmienisz zdania? - zapytał Augusto Aixelà. Siostra Consuelo uniosła głowę i utkwiała w nim płonące gorączką oczy. Nie, choćbym miała umrzeć, krzyknęła, i pobiegła do samochodu. Komendant otworzył drzwiczki z namalowanym pośrodku herbem zasłużonej instytucji; zamknął je, gdy tylko zakonnica wsiadła, po czym obszedł wóz dookoła i zajął miejsce za kierownicą. Już odjeżdżali, kiedy z domu wybiegła Pudenciana

ze sporym pakunkiem owiniętym w dużą chustę z grubego płótna; przeskakując kałuże dogoniła ich i podała pakunek siostrze Consuelo. Błoto spod tylnych kół opryskało od góry od dołu fartuch służącej. Kiedy wyjechali za bramę i znaleźli się na drodze, zakonnica rozwiązała zasuplaną chustę, żeby zobaczyć, co zawiera paczka; wysłoneły się z niej martwe króliki i koziołkując spadały na podłogę samochodu.

Miotana podrzutami trzęsącego się pojazdu, który omijał największe stromizny, pokonywał w bród rwące potoki i smagany ulewą pędził na przełaj przez pola, siostra Consuelo, na czworakach, zbierała z podłogi króliki. Komendant, który więcej uwagi poświęcał prowadzeniu wozu niż swojej towarzysze, zapytał ją, co robi i czego szuka pod siedzeniami samochodu, na co mniszka odpowiedziała niewyraźnym pomrukiem. Komendant zmniejszył szybkość. I tak wiem, że to króliki, oświadczył mocnym głosem, przekrzykując warkot silnika i metaliczne pobrzękiwanie karoserii, no i wiem też, że don Augusto poluje na nie pomimo okresu ochronnego, ale mnie to nie obchodzi, w końcu to jego ziemia i jego króliki, a poza tym nie zajmuję się kłusownikami; bardziej mnie martwi, że ostatnio wciąż się ugania po górach; tysiąc razy mu powtarzałem, że pewnego dnia, kiedy się tego będzie najmniej spodziewał, skończy tak jak jeden z tych pieprzonych królików, przepraszam za wyrażenie. Zakonnica, która zdołała z powrotem zawiązać pakunek, usiadła znowu na swoim miejscu. Wolną ręką usiłowała odgarnąć z twarzy skrzydła kornetu. Wyobrażam sobie, jak teraz wyglądam, pomyślała. I zwróciła się do policjanta: Więc to prawda, że w górach jest tak niebezpiecznie? Wykonał gwałtowny skręt, skutkiem czego omal nie doszło do wypadku. A czy byłbym tutaj, gdyby nie było niebezpiecznie? - ryknął. Ponieważ pytanie najwyraźniej zawierało w sobie odpowiedź, zakonnica nie odezwała się ani słowem.

Zamknawszy się w swojej celi wytarła się i przebrała, a potem pobiegła do refektarza, gdzie cała wspólnota z wyjątkiem kilku osób, które akurat miały dyżur przy chorych, czekała na nią, aby odmówiła modlitwę przed kolacją. Dokonała nadludzkiego wysiłku, żeby cokolwiek zjeść, raz dlatego, że nie wypadało wybrzydzać na kurczaka w papryce, podczas gdy reszta zgromadzenia łapczywie chleptała cienką zupę chlebową, a po drugie, ponieważ zauważyła, że szafarka ukradkiem ją obserwuje. Matka Millas od wielu lat piastowała tę funkcję w zgromadzeniu, biorąc na siebie jednocześnie uciążliwe zadanie czuwania nad stanem finansów Szpitala; oba te obowiązki pełniła w sposób wręcz katastrofalny, dając pokaz nieudolności i bałaganiarstwa, a mimo to nikt nie wątpił, że gdy tylko kolejna przeorysza odejdzie, jej stanowisko obejmie właśnie ona, w nagrodę za swe doświadczenie i ofiarność; jednakże gdy nadszedł ów moment, Matka Prowincjalna, zapewne uważając, że matce Millas, prócz braku kompetencji, można też zarzucić nieco trudny charakter i niejaką toporność w kontaktach z otoczeniem - co było przyczyną nieustannych nieporozumień i kłótni z innymi zakonnkami, z lekarzami, z chorymi, z dostawcami, jednym słowem z każdym, kto miał z nią do czynienia - wolała pominąć ją w awansie i mianować przeoryszą siostrę Consuelo, która była dużo młodsza od matki Millas, ale zdaniem Matki Prowincjalnej i jej Rady lepiej się nadawała do sprawowania tej godności. Ponieważ nowa przeorysza i siostra szafarka miały ściśle ze

sobą współpracować, Matka Prowincjalna, powiadomiwszy wspólnotę o swej decyzji, pozostawiła w zawieszeniu nominację matki Millas. Oczywiście siostra Consuelo co prędzej zatwierdziła szafarkę na jej dawnym stanowisku, dodając, że nikt nie pełniłby lepiej tej funkcji, ona sama zaś jest przekonana, iż ich współpraca okaże się łatwa, miła i pożyteczna. Od tamtej chwili nie było w ich wzajemnych stosunkach żadnej okazji do sprzeczki, lecz, logicznie rzecz biorąc, należało przypuszczać, że matka Millas, może nie w pełni tego świadoma, czuje się boleśnie dotknięta z powodu owego różniacza upokorzeń, którym ją poddano. Siostra Consuelo próbowała udawać, że nie dostrzega, iż jest obserwowana, ale choć bardzo się starała, nie mogła jeść: na samą myśl o przełknięciu choćby kawałeczka kurczaka czuła się chora. Gdy kolacja dobiegła końca, wymówiła się zmęczeniem i zamiast uraczyć swoją trzódkę budującą pogawędką, postanowiła przeczytać kilka urywków z książki stanowiącej wybór pobożnych rozmyślań. Miała cichą nadzieję, że mniszki, roztargnione z powodu burzy, nie będą zbyt uważnie słuchały lektury, sama bowiem nie wiedziała, co czyta, nie rozumiała wypowiedzianych przez siebie zdań i nie była pewna, czy mówiąc artykułuje zrozumiałe dźwięki. Teraz siostra szafarka patrzyła na nią z niepokojącym uporem. Ucisk w gardle nie pozwolił przeorszy dokończyć lektury. Nie mogę się rozplakać na oczach wszystkich, pomyślała, i dała znak matce Millas, po czym poprosiła ją, żeby usiadła na jej miejscu, przy pulpicie: Trochę zmokłam i musiało mi to zaszkodzić, powiedziała, źle się czuję, może matka zechce poczytać, a ja będę słuchała. Głosem, w którym pobrzmiwały szydercze tony, szafarka czytała: Ci, którzy naprawdę kochają, kochają wszystko, co dobre, pragną wszystkiego, co dobre, sprzyjają wszystkiemu, co dobre, kochają jedynie prawdę i to, co zacne; nie wiedzą, co to kłótnie czy zazdrość, a to dlatego, że nic innego nie chcą, jak tylko zadowolić oblubieńca, robią wszystko, aby zyskać jego miłość, i całe życie poświęcają trosce o to, aby jak najbardziej mu się przypodobać. W tym momencie siostrze Consuelo wyrwał się szloch, tak głośny, że czytająca musiała przerwać lekturę. Pośród wyczekującej ciszy przeorsza wyciągnęła z rękawa chusteczkę i wytarła nos, mając nadzieję, że ten rozpaczliwy krzyk jej udręczonej duszy zostanie odebrany przez całą wspólnotę jako kichnięcie. Po czym powiedziała: Proszę dalej, matko Millas.

Burza trwała do późnej nocy. Bezlitosne światło błyskawic wpadało przez okienka celi siostry Consuelo i zapełniało ściany ulotnymi zjawami, huczały grzmoty niczym głos zza grobu, a w powietrzu, nad ziemią chłostaną piorunami unosił się zapach siarki. Po raz pierwszy w życiu siostra Consuelo poznała, co to jest strach przed Boskim gniewem, i przez wiele nie kończących się godzin, osłoniwszy głowę peleryną, błagała Najświętszą Marię Pannę o wstawiennictwo. W ciągu tej nocy mogła sobie pozwolić na pełne przemyślenie tego, co się stało ostatnio, a także wydarzeń, które doprowadziły ją do obecnego stanu; stwierdziła, że dłużej tego ciągnąć nie można. Używając najbardziej uroczystych i stanowczych słów przyrzekła naprawić popełnione zło i zamknąć drzwi przed nowymi okazjami do grzechu. O świcie wykonypowała długi list do Matki Prowincjalnej; w liście tym siostra Consuelo wyznawała swe winy nie pomijając szczegółów: skierowałam swoje oczy i żądze ku pewnemu człowiekowi i ukryłam to pod

siecią kłamstw, pisała, a pycha, której nie waham się nazwać szatańską, kazała mi sądzić, że mogę stawić czoło światu i wyjść nietknięta ze spotkania z nim; teraz wiem, jak bardzo zbłądziłam i jak krucha jest dusza zaatakowana namiętnością, kiedy Pan Bóg Miłosierny nie powstrzymuje jej swą Bożą łaską. Z tych to powodów, pisała dalej w liście, błaga wielbłą Matkę Prowincjalną o wybaczenie i o pośrednictwo wobec wielbnej Matki Generalnej, i w ich ręce się oddaje, aby przyjąć karę, jaką uznają za stosowne jej wymierzyć; po czym sama z siebie ponawiała śluby posłuszeństwa, ubóstwa i czystości i prosiła, aby zechciano ją przenieść w inne miejsce, odległe od tego, w którym przebywa obecnie, i pozwolić na przejście od pracy misyjnej i przy chorych - do życia kontemplacyjnego, w nieprzerwanym milczeniu i samotności. Przeczytała ponownie to, co napisała, uznała, że list jest zadowalający, i podpisała go. Następnie włożyła go do koperty, którą zaadresowała do wielbnej Matki Prowincjalnej, i przykleiła znaczek. I natychmiast potem wzięła drugą kartkę papieru i zaczęła pisać drugi list, przeznaczony dla Augusta Aixeli i tak oto brzmiący: Szanowny Panie, z powodu stanu mego zdrowia muszę bezzwłocznie opuścić Szpital i przenieść się do innej miejscowości; nie chciałabym jednak wyjeżdżać nie pożegnawszy się z Panem dziękując mu za okazaną mi wielokrotnie uprzejmość i prosząc o wybaczenie wszelkich przykrości, jakich być może doznał z mojej przyczyny. Nie wiem, czy ta decyzja, pisała dalej, będzie równie bolesna dla Ciebie, jak jest dla mnie, ale musisz zrozumieć, mój ukochany, że czasem trzeba otworzyć oczy na światło, a zamknąć serce na miłość, czy potrafisz to zrozumieć i mi wybaczyć? Zdobądź się na to, mój kochany, mój dobry, bo bardziej mi zależy na uzyskaniu wybaczenia od Ciebie niż od samego Pana Boga. Napisawszy te słowa zdała sobie sprawę, że to niedorzeczność. Podarła list na strzępki, wstała i szeroko otworzyła okiennice. Słońce właśnie wschodziło, a na niebie nie było najmniejszej chmurki. Uznając tę pogodną ciszę za znak przebaczenia, podziękowała Bogu, ubrała się w czyste rzeczy i pospieszyła na jutrznię. Po drodze do kaplicy, w holu, natknęła się na listonosza, który wręczał właśnie pocztę siostrze furtiance. Wcześniej pan dziś przyszedł, powiedziała do niego. Tak, proszę matki, odparł listonosz, wczoraj, przez tę burzę, nie roznosiłem przesyłek, za to dzisiaj mam podwójną robotę. Na szczęście, dodał, tym razem nie było powodzi. Jeszcze jeden znak ostrzegawczy, pomyślała przeorysza. Wyjęła z kieszeni list do Matki Prowincjalnej i podała go listonoszowi mówiąc: Niech pan weźmie ten list, to już nie będę musiała chodzić na pocztę, żeby go wysłać.

W konfesjonale drzemał mosen Pallares. Ojczy, poczułam cielesną żądzę, szepnęła, i zgrzeszyłam zuchwałością i pychą. Moja córko, Bóg Wszechpotężny pozwala, aby diabeł nas kusił, gdyż chce wystawić na próbę naszą wiarę; nie musimy ulegać pokusie, czynmy tak, jak nas uczył Pan nasz, Jezus Chrystus, kiedy po trzykroć odrzucił namowy i pochlebstwa Złego; módl się jak najwięcej, modlitwa jest najlepsza. Ojczy, nie wiem, co robić, proszę mi pomóc. Skup się na swej pracy, córko, pomyśl o tym, że Bóg ci powierzył ważne zadanie do spełnienia tu na ziemi; ale niech ta praca nie uczyni cię zarozumiałą i niech cię ona nie oddali od Boga; tak jak Chrystus wzgardził królestwem z tego świata, tak i my powinniśmy zrozumieć, że praca jest tylko sposobem na to, by iść

do Chrystusa: dobrym, jeżeli pomaga nam osiągnąć ten cel, a złym, jeżeli nas od niego oddala; w żadnym wypadku nie możemy dopuścić do tego, aby praca stała się czymś, co nas przywiąże do rzeczy doczesnych. Oglupiałej po tylu bezsennych godzinach udręki te puste słowa wydały się wzorem mądrości. Dziękuję, ojcze, teraz wszystko stało się dla mnie jasne, szepnęła całując stulę wysuwającą się spoza zasłonek konfesjonau. Przyjęła komunię świętą i poczuła się szczęśliwa, tak jakby wszystko to, co było przyczyną jej wczorajszej rozpaczki, zostało wymazane z jej życia i pamięci. Wieczorem, pokona przez fizyczne zmęczenie, położyła się do łóżka i natychmiast usnęła.

Obudziła się na krótko przed świtem, nękana pewną myślą, która według wszelkiego prawdopodobieństwa powstała w jej głowie podczas snu i która teraz przedstawiała się jej jako coś oczywistego i nieodwołalnego. Jeżeli wczoraj rano list został wysłany, to jeszcze dziś dojdzie do rąk Matki Prowincjalnej, mówiła sobie, ona zaś, ze względu na jego treść, podejmie natychmiastowe działania, aby mnie przenieść gdzie indziej; bardzo możliwe, że za dwa albo trzy dni będę musiała odejść stąd na zawsze, a jeśli tak musi być, to nie mogę wyjechać nie udzieliwszy jakiegokolwiek wyjaśnienia Augustowi Aixeli, koniec końców, nie z jego winy się to stało; jeśli był zbyt śmiały, to tylko dlatego, że ja dałam po temu powody, a jego przecież żadne śluby nie zmuszają do nieposzlakowanego zachowania. Po czym dalej snuła swój wewnętrzny monolog: Zawdzięczam mu wiele, nie w sprawach osobistych, lecz jako przedstawicielka zakonu, który postawiłabym w bardzo niezręcznej sytuacji, gdybym teraz zniknęła bez słowa. Tylko Pan Bóg wie, jaka to mogłaby być kompromitacja wobec władz w Madrycie i jak bardzo zaszkodziłoby to prestiżowi zakonu i jego dziedzictwu, gdyby wszystko miało zależeć od moich kaprysów. Byłaby to doprawdy małoduszność z mojej strony, gdybym teraz, wyłącznie dla własnego dobrego samopoczucia, potraktowała go wyniośle i niegrzecznie. Ta myśl prześladowała ją przez cały dzień, mijające godziny zabierały ze sobą ostatnią okazję pożegnania się z Augustem Aixelą, a ona, mając tę pewność i cierpiąc z tego powodu, nie mogła znaleźć argumentu przeciwko swojemu milczeniu. Pisać nie ma co, to bezcelowe, mówiła sobie, już próbowałam i rezultat był opłakany; powinnam pójść do niego i powiedzieć mu prosto w oczy, jak się rzeczy mają. Po obiedzie, nic nikomu nie mówiąc, wyszła ze Szpitala; siostrze furtiance powiedziała tylko: Idę coś załatwić, niedługo wrócę. Siostra furtianka skłoniła głowę w milczeniu i kiedy przeorysza wyszła, zamknęła za nią bramę.

Szła szybko, wciąż oglądając się za siebie i na boki, w obawie, że ktoś ją zobaczy; na skrzyżowaniach dróg zatrzymywała się i ruszała dalej tylko wtedy, kiedy była pewna, że w pobliżu nie ma ludzi. Na jakimś zakręcie zauważyła nadjeżdżający samochód policyjny i schowała się wśród krzaków w przydrożnym rowie; jeżyny podrapały jej ręce, a samochód przejechał o kilka metrów od kryjówki wznosząc chmurę pyłu, który trwał potem nieruchomo w gorącym popołudniowym powietrzu. Wyszła stamtąd dopiero wtedy, kiedy w dali zamarł odgłos silnika i tylko granie świerszczy mąciło wiejski spokój. Przed uchyloną bramą nie mogła nie wspomnieć ze smutkiem swej pierwszej wizyty w tym domu, do którego teraz zmierzała po raz ostatni, i spotkania z psami, które tym razem, nie tak jak wtedy, przybiegły wesole i swawolne. León, Negrita, moje kochane psiny, mówiła głaszcząc je. Psy zlizwały krew z jej dłoni. Zjawiła się Pudenciana i oznajmiła: Czekałam na siostrę, pan dziedzic mi powiedział, że siostra przyjdzie, ja mu powiedziałam, że nie, ale on mi mówi: przyjdzie, czekaj na nią i zaraz ją tu przyprowadź. Przyszłam się pożegnać, Pudenciano, westchnęła zakonnica. Augusto Aixelà przyjął ją w swoim gabinecie. Zostaw nas samych, Pudeciano, rozkazał. Nie, proszę mi przynieść szklankę wody, w ustach mi zaschło, powiedziała siostra Consuelo stanowczym tonem osoby, która zwykła wydawać polecenia nie czekając na odpowiedź. Służąca zawahała się. Zrób to, co ci powiedziała matka przeorysza, rzekł dziedzic. Ledwie Pudenciana wyszła, Augusto Aixelà zerwał się z miejsca i przygarnął do siebie zakonnice, a ona starała się wyzwolić z jego ramion. Proszę mnie puścić, wyjąkała. Pozwolił jej się odsunąć, odeszła i stanęła w najdalszym kącie pokoju. Jeżeli nie chcesz, żebym cię uściskał, to po co przyszłaś? - zapytał. Żeby się pożegnać; napisałam długi list do Matki Prowincjalnej, zawiadamiam ją, że powinnam opuścić to miejsce, a także proszę o przeniesienie do zakonu klauzurowego; moja decyzja jest ostateczna, a list został już wysłany. Zamilkła na chwilę, odchrząknęła i dodała już spokojniejszym tonem: Chciałam ci to powiedzieć sama. Augusto Aixelà milczał przez chwilę, jakby zastanawiając się nad tym, co usłyszał, po czym zapytał: Dlaczego chcesz się pogrzebać za życia? Bo cię kocham, odpowiedziała natychmiast, nie wiem, kiedy się w tobie zakochałam ani jak to się stało, ponieważ usiłuję sobie przypomnieć i wydaje mi się, że kochałam cię zawsze, i staram się to zrozumieć, i nie widzę powodu, dla którego nie miałabym cię kochać. Być może, dodała, dziwi cię, że mówię takie rzeczy ze szczerością, która jest niemal bezwstydna, ale zauważ, że jest to zarazem przyznanie się do własnej hańby, a ponadto codzienna praktyka przystępowania do spowiedzi uodporniła mnie na odczuwanie wstydu z powodu moich grzechów. Cóż grzesznego jest w miłości? - zapytał Augusto Aixelà. W miłości w ogóle, nie wiem; a co do mojej, która sprzeciwia się woli Bożej, z tym już koniec, odparła przeorysza. To nie Boża wola, tylko twoja, zaprotestował, to ty postanowiłaś usunąć miłość ze swego życia i wstąpić do zakonu, ale teraz, kiedy miłość nieubłaganie tobą zawładnęła, czy jest sens nadal nią gardzić? Ty podjęłaś decyzję i ty możesz ją zmienić, jesteśmy wolni i Bóg nie może żądać od ciebie rezygnacji, która z pewnością unie-szczęśliwi i ciebie, i mnie: to przeciwne naturze i nieludzkie. Bóg

wymaga ode mnie oddania, nawet kosztem tego, co jest mi niezbędne, odparła zakonnica, wiedziałam o tym, kiedy składałam śluby, i teraz jestem o tym tak samo przekonana jak wtedy, i błagam cię, nie nalegaj, bo ta rozmowa do niczego nie prowadzi, a dla mnie jest bardzo bolesna. Weszła Pudenciana ze szklanką wody i podała ją zakonnicy, która wypła wszystko duszkiem i oddała służącej szklankę; kobieta wyszła równie szybko jak dyskretnie, bo nawet panująca w gabinecie cisza pozwoliła jej się domyślić, że ci dwoje rozstrzygają właśnie niezwyklej wagi problemy. Mimo wszystko ta krótka przerwa przyniosła im pewną ulgę i pomogła rozładować napięcie.

A twój projekt? - zapytał Augusto Aixelà; jeżeli odejdziesz, co się stanie z przytułkiem dla starców? Ktoś inny, bardziej godny tego zadania, poprowadzi sprawę dalej, odparła przeorysza. Sama wiesz, że tak nie będzie, powiedział, nikt tu nie ma twoich zdolności ani twego zapału, a ja dla nikogo nie poruszyłbym nieba i ziemi, tak jak to zrobiłem dla ciebie. No więc przytułku nie będzie, powiedziała siostra Consuelo z naciskiem, szkoda tego pomysłu, ale przecież rzecz idzie o coś ważniejszego. Augusto Aixelà podchwycił: Coś ważniejszego? Dla kogo? Dla ciebie czy dla tych staruszków, nad którymi jeszcze miesiąc temu tak się rozczulałaś, a których teraz chcesz wyrzucić za burtę i uważasz to za rzecz całkiem normalną, bo zagrożona jest twoja nietykalność? A może ten słynny projekt miał na celu tylko wywyższenie ciebie? Nie mów tak, to nieprawda, przerwała mu zakonnica, przecież wiesz, że największego dobra nie kupuje się za taką cenę. Oczy Augusta Aixeli błyszczały gniewem; zrobił krok naprzód, ona się cofnęła, ale on nie posunął się dalej. Dlaczego mówisz o cenie? - powiedział. - Czy kiedykolwiek żądałem czegoś od ciebie? Spuściła oczy i zaprzeczyła ruchem głowy, a on mówił dalej: Czego się boisz? Tylko tego, że musiałabyś stawić czoło sobie samej: to właśnie nazywasz ceną; konieczność zejścia z piedestału i pogodzenia się z własną słabością; otóż to, wszyscy jesteśmy ludzkimi istotami i nie możemy zrobić nic sensownego nie płacąc tej ceny, jaką jest wzięcie na siebie ciężaru własnej ułomności; nawet Jezus Chrystus musiał ją zapłacić, aby dopełnić dzieła odkupienia; musiał stać się człowiekiem, cierpieć, był kuszony przez szatana i bał się - tak jak ty. 'Zrobił jeszcze jeden krok w stronę zakonnicy, która stała bez ruchu; uniosła wzrok i utkwiała oczy w mężczyznę, duże łzy spływały jej po policzkach, usta drżały. Szepnęła: Milcz, sam jesteś diabłem. On się roześmiał. Diabłem? Jaki tam ze mnie diabeł! Czyżbym to ja był kusicielem? A może to raczej ty mnie kusiłaś? Ja nie poszedłem po ciebie do twojej celi ani nie kazałem ci przychodzić do mnie. Dlaczego przychodziłaś, skoro jestem diabłem? I czemu zawsze przychodziłaś sama? Mówiłaś, że nie możesz nikogo zabierać ze sobą, bo w Szpitalu jest dużo roboty. Myślisz, że nie wiem, że w tym świętym Szpitalu jest trzynaście zakonnicy i zaledwie pół tuzina chorych? Siostra Consuelo przerwała mu władczym ruchem dłoni: Oszczędź sobie tej przemowy, ani cię nie słyszę, ani cię nie słucham; ale nie bój się: to jasne, że nie jesteś diabłem, bo gdybyś nim był, wiedziałbyś, że to nie twoja argumentacja może mnie w końcu zgubić. W jednej sekundzie, szybka jak iskra, pokonała dzielącą ich odległość i rzuciła się w jego ramiona z taką siłą, że aż się zachwiało.

W pół godziny później siostra Consuelo leżała wciąż jeszcze na kanapie w gabinecie, z półprzymkniętymi oczyma i pogrążona w ponurym milczeniu. Kiedy podnosiła wzrok, zdawało jej się, że czuje na swoim łonie surowe spojrzenia starych, kalekich rzeźbionych postaci, zdobiących ściany pokoju. Augusto Aixelà, który palił papierosa stojąc, oparty o stół, przerwał to milczenie i powiedział: A ja myślałem, że wy, mniszki, macie ogolone głowy. Frywolność tych pierwszych słów, jakie teraz do niej skierował, wpłynęła na nią kojąco. Dawniej tak było, odparła, ale w czasie wojny wiele zakonnice, które usiłowały uciec przed okrucieństwem oprawców, zostało rozpoznanych z powodu tego szczególnego piętna i zapłaciły za to życiem; od tej pory pozwalają nam nosić takie włosy, jakie mamy. Dotknęła dłonią swego karku i mruknęła tym samym tonem: Co teraz ze mną będzie? Nie dręcz się tym, powiedział, nic się tutaj nie stało; spowiadasz się codziennie, prawda? No więc jutro o tej porze grzech będzie ci już odpuszczony. Całe życie przed tobą, możesz być cnotliwa i cieszyć się swym przytułkiem dla staruszków; tak czy owak, teraz nie ma już powodu, abyś z niego rezygnowała. Zanim zdążyła coś powiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi. Kto tam? - ryknął dziedzic, ale nikt się nie odezwał, a Pudenciana, nie czekając na pozwolenie otworzyła drzwi i wsunęła głowę do pokoju. Leżąca na kanapie zakonnica krzyknęła zaskoczona, a służąca oniemiała ze zdumienia; zaraz jednak odzyskała mowę i powiedziała: Przepraszam, że wchodzę, ale komendant policji chciałby się zobaczyć z panem dziedzicem. Powiedz mu, że dzisiaj nie mogę, jutro przyjdę do niego do komisariatu, na pewno. Tak, ale on powiada, że pan go onegdaj zaprosił na szynkę, a poza tym ma jeszcze coś do pogadania, i to bardzo pilnego. Augusto Aixelà rozgniół w popielniczce papierosa niby to ze złością, ale tylko udawał, bowiem ta niespodziewana wizyta pozwalała mu nie odpowiadać na niezliczone pytania. Niech tam, mruknął, już idę. Kiedy Pudenciana wyszła, siostra Consuelo powiedziała: Aby uzyskać wybaczenie od Boga, trzeba czuć żal za popełniony czyn, a ja nigdy nie będę tego żałowała, jestem zgubiona. Augusto Aixelà patrzył na nią chwilę, zanim odparł: Nie przejmuj się takimi rzeczami, kobieto, jeszcze zdążymy spokojnie o tym porozmawiać; a teraz musisz się pospieszyć: niedługo się ściemni, a przecież słyszałaś, że komendant na mnie czeka, chyba nie chcesz, żeby nas tu razem zobaczył. Gdy tylko uporządkowała swój strój, co prędzej wziął ją pod rękę i podprowadził do kotary zasłaniającej drzwi od ogrodu. Wyjdź tędy, a potem okrążysz dom od tamtej strony i nikt cię nie będzie widział, rzekł. Już chciał otwierać drzwi, ale ona położyła rękę na klamce mówiąc: Poczekaj, to jedno muszę wiedzieć, tylko nie kłam: czy mnie kochasz? No pewnie, moja droga, odparł, czemu pytasz? Westchnęła i powiedziała: Myślałam, że kiedy osiągniesz swój cel, to już nie będzie ci na mnie zależało. Nie bądź dziecinna, skarcił ją. Będiesz mnie kochał zawsze? Tak. Więc przyjdę dziś wieczorem, oznajmiła. Będę na ciebie czekał, powiedział. Słońce się chowa, a razem z nim znika moja skromność, pomyślała, gdy została sama na ganku skąpanym w złotym blasku zachodu. Ave Marrria Purrrissima, wrzasnęła na jej widok papuga.

Dziś wieczorem nie przyjdę do refektarza i nie będę uczestniczyła w modlitwie,

powiedziała siostrze furtiance po powrocie do Szpitala, proszę przekazać matce Millas, aby zajęła się wszystkim, co trzeba; i niech mi nikt nie przeszkadza, pod żadnym pozorem. Siostra furtianka pochyliła głowę i odezwała się: Był tutaj komendant policji, a ponieważ matki nie zastał, mówił, że jeszcze do nas zajrzy; co mam mu powiedzieć, jak przyjdzie? Ten człowiek nie tylko zjawia się nie w porę, ale wszędzie go pełno, pomyślała przeorysza, co za koszmar! A głośno odparła: Powiedziałam, że dzisiaj nikogo nie chcę widzieć, siostrzo, więc proszę się trzymać moich poleceń.

Gdy znalazła się sama w swej celi, jej duszę osaczyły najbardziej sprzeczne ze sobą nastroje: radość w jednej chwili zmieniała się w smutek, po czym ogarniało ją otępienie i ospałość - będące reakcją na wstrząs emocjonalny i fizyczny, jakiego doznała przed kilkoma godzinami na kanapie w gabinecie - to znów, ulegając przepelniającej ją energii, przemierzała wąską izdebkę wielkimi susami i podskakiwała, gdyż przynosiło jej to ulgę. Świadomość, że oddała duszę i ciało ukochanemu mężczyźnie, była dla niej nie do zniesienia, ale pragnęła ponownie biec na spotkanie, by znów robić to samo: czuła niepohamowaną potrzebę oddania mu się i wszelkie przeszkody, czy to pochodzące od ludzi, czy od Boga, mogły tylko zwiększyć jej pragnienie. W takim obłądzeniu mijały jej godziny, gdy czekała, aż cała wspólnota pójdzie spać, a ona, pod osłoną nocy, będzie mogła nie zauważona przez nikogo wymknąć się ze Szpitala. Stłumiony szmer modlitw i śpiew dochodzący z kaplicy drażnił przeoryszkę. Czy te idiotki nigdy nie przestaną śpiewać? - mówiła sobie. Po czym, przerażona własną podłością, zakrywając dłońmi twarz prosiła Boga, aby jej nie opuszczał w owym decydującym momencie.

Kiedy z wolna ucichły rozmowy, a potem szmer kroków inne stłumione odgłosy towarzyszące wycofywaniu się mniszek do cel, siostra Consuelo postanowiła wyjść. Ciemności nie były przeszkodą dla przeoryszy, która w swoim czasie przestudiowała drobiazgowo rozkład pomieszczeń szpitalnych w związku z planowaną przebudową; teraz potrafiła na oślep znaleźć odpowiedni kierunek w tym labiryncie sal, korytarzy i schodów. Bez jednego potknięcia dotarła do holu; w niszy płonęła lampka wotywna przed wizerunkiem Matki Boskiej Bolesnej. Nie musisz tak na mnie patrzeć, szepnęła zakonnica podchodząc do obrazu, wiem, że wkrótce popełnię najstraszliwszy grzech, i tylko Cię proszę, żeby moje przewinienia nie obciążły Szpitala. Własnym kluczem otworzyła drzwi, wyszła na zewnątrz i zamknęła je za sobą, po czym przez judasza wrzuciła kółko z kluczami do środka. Matka Prowincjalna dostała już mój list; zrozumie, kiedy jej powiedzą, że zniknęłam zostawiając klucze, mówiła sobie oddalając się w cieniu budynku. Nie było księżyca, a w nikłym blasku gwiazd mogła z trudem dostrzec to, co znajdowało się tuż przed jej oczami; pożałowała, że nie wzięła ze sobą kaganka. Ledwo przyszło jej to na myśl, z przydrożnych krzaków wyłoniła się jakaś postać z latarką w ręku; na widok tej zjawy zakonnica krzyknęła ze strachu. Dziwna postać też wydała okrzyk i omal nie upuściła na ziemię latarki. Po czym opanowała się i powiedziała: Proszę nie krzyczeć, siostrzo, nie ma się czego bać, nie zrobię siostrze nic złego. Mówiąc

to ów człowiek oświetlał latarką swoją twarz i uśmiechał się: w ukośnie padających promieniach światła jego rysy przybrały widmowy wyraz. Nazywam się Hilario, dodał, pokornie odkrywając głowę, jestem pastuchem, stąd, z osiedla, porządny ze mnie człowiek, tyle że nieuczony; dzisiaj zostawiłem stado na noc w owczarni, żeby tu przyjść po siostrę. Po mnie? Jesteś pewien, że to po mnie przyszedłeś? - zapytała zbita z tropu zakonnica. Pastuch skinął twierdząco głową i wskazując kijem gmach Szpitala powiedział: Już będzie ze dwie godziny, jak czekam na siostrę; chciałem wejść, ale drzwi były zamknięte na cztery spusty. Drzwi Szpitala nigdy dla nikogo nie są zamknięte, odparła przeorysza. Dzisiaj były, dla mnie, powiedział pastuch, gdyby nie to, po cóż bym czekał na dworze? I zanim zakonnica zdążyła zaprotestować, dodał: Jest ktoś chory, kto potrzebuje pomocy, więc przyszedłem, żeby zaprowadzić siostrę do tej osoby, i niech nam ją siostra wykuruje. To już z nią tak źle, że jej nie możecie przyprowadzić do Szpitala? Nie może przyjść, siostro, proszę mnie o nic więcej nie pytać, wymamrotał Hilario. Ale jeśli to taki ciężki przypadek, to czemuś się tak ociągał? Nie potrafisz zadzwonić do drzwi? Nie wolno mi dzwonić, nikt nie może wiedzieć, że tu byłem, tylko siostra, powiedział pastuch, nie chciałem wchodzić przez okno, żeby nie zadeptać espadrylami podłogi w klasztorze, no i dlatego czekałem na dworze, modląc się do Najświętszej Pani, żeby siostra wyszła. Siostra Consuelo zamyśliła się nad czymś; po czym zapytała: Kim jest ta osoba tak bardzo chora? To twoja żona? A nie, jazem kawaler, Bogu dzięki, powiedział Hilario. Jakiś krewniak? Tak, i owszem, cioteczny brat. A co mu jest, temu twojemu bratu? Tego też nie mogę powiedzieć, odparł pastuch, mogę rzec tylko tyle, że siostra musi zaraz iść ze mną, bo jak nie, to on umrze. Dlaczego ja, a nie lekarz? Ma być siostra i nikt inny, powtórzył pastuch, i proszę mnie więcej nie pytać. Ja się bardzo mało znam na medycynie, uprzedziła go zakonnica. Wystarczy, powiedział pastuch, jeżeli nie będziemy tracili czasu. Będzie mi potrzebna walizeczka z przyborami do pierwszej pomocy. Tam, gdzie idziemy, jest wszystko, co trzeba, odparł pastuch, ale siostra nie może iść tak ubrana jak teraz. Pochylił się szukając czegoś wśród zarośli, które służyły mu za kryjówkę, i wyciągnąwszy zawiniątko podał je zakownicy. Niech siostra włoży na siebie te łachy. Siostra Consuelo rozwiązała tobolek i zobaczyła znoszoną kobiecą odzież z grubego płótna. Niech się siostra ubiera, ale już, ja nie patrzę, powiedział pastuch, a choćbym i patrzył, to w taką psią noc też nic nie wypatrzę. Widząc, że mniszka się waha, dorzucił stanowczym tonem: Niech siostra migiem robi to, o co proszę, i więcej o nic nie pyta.

Pastuch szedł pewnym i lekkim krokiem po tych wertepach, których wszystkie nierówności znał jak własną kieszeń. Zakonnica z trudem za nim nadążała i coraz to musiała prosić o pomoc. Pastuch brał ją wtedy z wielkim szacunkiem pod rękę i zmuszał do pokonywania przeszkód, co przychodziło mu z zadziwiającą łatwością: od razu było widać, że codziennie tak samo umiejętnie zajmuje się powierzonymi mu bydłatkami. Po godzinie zatrzymali się na leśnej polanie; pastuch zapalił zapalniczkę i zaraz ją zgasił. Zakonnica spytała, co robi. To sygnał, powiedział pastuch, teraz trzeba nam poczekać. Zakonnica, korzystając z przerwy w marszu, zapytała: Czyśmy się już kiedyś widzieli? Twoja twarz jest mi skądś znana. Chyba nie, odparł pastuch, ja tam zawsze w polu, przy owcach, nigdy nie schodzę do osady, a do Szpitala tym bardziej, Bogu dzięki. Ledwo to powiedział, na polanie zjawił się niski, krępy mężczyzna, który podszedł do nich kulejąc. Czy to jest twój kuzyn? - zapytała zakonnica. A jakże, kuzyn, ale nie ten, co jest chory, powiedział pastuch, nazywają go tutaj „lo coix”, kulawy. Nowo przybyły zdjął czapkę i wyciągnął ku zakownicy szorstką rękę. Jestem „lo coix” i bardzo dziękuję za przybycie. Zakonnica uściśniła tę dłoń, starając się dostrzec w ciemności twarz mężczyzny; zauważyła teraz, że ma przewieszoną przez plecy strzelbę. Pastuch pożegnał się z nimi: Pomyślności, siostrze, pomyślności, coix, powiedział, po czym bezszelestnie zagłębił się w zaroślach. Odpocznijmy chwilę, jeśli siostra sobie życzy, powiedział „lo coix” i wskazał na wznoszący się przed nimi szczyt; będziemy mieli kawałek pod górkę. Nie jestem zmęczona, odparła siostra Consuelo, ale nie przywykłam do wspinaczki, nie wiem, czy dam radę. Jeśli ja dam radę, chociaż mam tylko półtorej nogi, to siostra mając dwie, i to mocne, też potrafi wejść, powiedział „lo coix”. Słyszając tę uwagę, siostra Consuelo uświadomiła sobie, że spódnica, którą ma na sobie, ledwo zakrywa jej kolana. Chodźmy, powiedziała. Mężczyzna rozwinął przyniesioną ze sobą linę, jeden jej koniec związał sobie wokół pasa, a drugim przepasał zakonnice. W ten sposób, jeśli jedno z nas zrobi fałszywy krok, to spadniemy oboje, zażartował. Która godzina? - zapytała siostra Consuelo, kiedy znaleźli się na wierzchołku. Niedługo druga, powiedział „lo coix” patrząc na gwiazdy, których tysiące migotały na niebie. Siostra Consuelo westchnęła. Daleko jeszcze? Nie, jesteśmy prawie na miejscu, powiedział „lo coix”, siostra jest bardzo silna i zręczna, a także bardzo dzielna, dodał, jaka szkoda, że na tej ziemi nie ma więcej takich kobiet jak siostra.

Szli jeszcze jakiś czas, aż ujrzeni na stromym stoku zbudowane z kamieni schronisko i stojących u jego wejścia dwóch uzbrojonych ludzi; o kilka kroków dalej kilku mężczyzn siedziało przy ognisku. Schronisko wydawało się bardzo zapuszczone: w ścianach były szczeliny, brakowało dachu, a skrzydła małego okienka ledwo się trzymały na zawiasach. Proszę do środka i niech siostra się nie boi, powiedział „lo coix”. Nie boję się, powiedziała zakonnica. W izbie przy rozżarzonych węglach, które tliły się na ziemi, siedział mężczyzna. Słyszając skrzypnięcie drzwi, odwrócił się i powiedział:

Wiedziałem, że siostra przyjdzie. To ty jesteś chory? - zapytała siostra Consuelo. Za całą odpowiedź mężczyzna zapalił pochodnią oliwną lampę. Zielonkawy płomień oświetlił jego zmienioną twarz. Jak to! - wykrzyknęła zakonnica poznając go w blasku lampy, więc ten słynny rozbójnik to ty? Niech się siostra nie boi, powtórzył tamten. Nie boję się, powiedziała znowu zakonnica, ale dziwi mnie twój widok, chociaż trochę się domyślałam, że nie jesteś taki głupi, jakiego udawałeś. Rozbójnik wybuchnął śmiechem. A siostra też nie jest taka chytra, jak jej się wydaje, powiedział; ja nie jestem głupek, głupi to jest ogrodnik z dworu Aixeli; siostra miała do czynienia z dwiema różnymi osobami, myśląc, że to jedna i ta sama. Zakonnica dopiero po dobrej chwili zrozumiała, w czym rzecz. Nie mów mi, że ogrodnik to też twój kuzyn, powiedziała w końcu. Rozbójnik zachichotał, ubawiony własną przebiegłością: Tak, a także pastuch i „lo coix”; przez całe wieki to była zupełnie odosobniona osada, ludzie tutaj żenili się między sobą; teraz wszyscy jesteśmy kuzynami i wszyscy do siebie podobni; dzięki temu mogę się wszędzie poruszać z całkowitą swobodą, wystarczy zamienić się z kimś ubranie, żeby zająć jego miejsce, i ani policja, ani bogacze się nie zorientują: dla nich wszyscyśmy tacy sami. Widzi siostra, dodał kpiącym tonem, gdyby na nas zwracali większą uwagę, zaoszczędziliby sobie wielu przykrości, ale taka już jest ich natura, że wysługują się prostytutkami nie patrząc im w twarz. Wstrząsnął nim dreszcz, więc owinął się szczelniej kocem, który miał zarzucony na ramiona. Nie zajmie się mną siostra? - powiedział. Tak, ale proszę mi jeszcze powiedzieć, co robiłeś w domu Augusta Aixeli, chciałeś go uprowadzić? Rozbójnik znów się roześmiał i rzekł: Uprowadzić? Nie, po co? Ten facet nie ma rodziny ani przyjaciół: nikt nie zapłaciłby za niego nawet jednego duro; i pewnie ten czy ów ucieszyłby się z jego zniknięcia. Ja tylko miałem na myśli rabunek; słyszałem, że we dworze jest kolekcja dzieł sztuki, bardzo cennych, i tak żem sobie pomyślał, że lepiej im będzie w moich rękach niż w łapach tego łajdaka, no to przez kilka dni zastępowałem mojego kuzyna przygłupka i sprawdziłem, gdzie co jest i jak zabezpieczone, przynajmniej w mniemaniu pana dziedzica; a poza tym dorobiłem sobie klucze, o, proszę spojrzeć. Wskazał na jeden z kątów pomieszczenia: był tam karabin maszynowy, amunicja, pół tuzina pocisków z lontami i różne inne przedmioty; wśród nich zakonnica zobaczyła metalowe kółko, szerokie na dłoń, na którym wisiało sporo kluczy. Jak mam taki komplet kluczy, to nie oprze mi się żaden zamek w całej osadzie, powiedział pyszałkowatym tonem złoczyńca, nawet do Szpitala mogę wejść, jak mi się spodoba, ale niech się siostra nie obawia, bo tego nie zrobię. A właśnie byłoby lepiej, żebyś wszedł i tam został, bo trzęsiesz się w gorączce, powiedziała siostra Consuelo. To od nocnego chłodu, powiedział przydrożny rabuś. Cicho bądź, prostaku, wy, chorzy, wszyscy tak samo się zachowujecie, myślicie, że kłamstwo odpędzi chorobę? A co cię boli? Rozbójnik uniósł koc, którym był okryty, i pokazał lewą nogę: nogawka spodni była rozdarta, a udo omotane zakrwawionym bandażem. Zakonnica przyśunęła bliżej lampę i obejrzała zranioną kończynę. Co to było? Postrzał, odparł złoczyńca, miałem szczęście, bo kula wyszła z drugiej strony nie tykając kości, ale nie mogę poruszać nogą ani na niej nie ustoję. Oczywiście, i będzie cud, jeżeli jej nie stracisz, kto cię opatrywał? Ludzie z mojej bandy. To widać, powiedziała zakonnica, gdzie macie apteczkę? Rozbójnik wskazał sakwę, w której zakonnica znalazła narzędzia chirurgiczne i lekarstwa zrabowane jak

popadło w aptekach i w ambulatoriach pogotowia ratunkowego. Zaczęła rozcinać nożyczkami bandaże na nodze bandyty, ale zabieg okazał się tak bolesny, że musiała przerwać i poprosić „lo coix” o pomoc i przytrzymanie rannego. Kiedy skończyli, powiedziała: Zagotujcie wody w czystym rondelku, ma się gotować co najmniej dziesięć minut; będę też potrzebowała penicyliny; niech Hilario pójdzie do Szpitala i przyniesie ją; jeśli go o co spytają, może powiedzieć, że to ja go przysłałam. Zastępca herszta popatrzył nań, a herszt kiwnął głową potakująco. Ufam siostrze, powiedział rozbójnik, kiedy tamten wyszedł. A cóż innego ci pozostaje, powiedziała zakonnica. Mówię poważnie, jakżem tylko siostrę zobaczył, zaraz wiedziałem, że siostra to prawdziwa święta. No widzisz? bredzisz w gorączce, powiedziała. Wiem, po co siostra chodziła do dworu Aixeli, ciągnął rozbójnik nie zważając na jej słowa, słyszałem coś niecoś z tego, o czym mówiliście, a Pudenciana Łysa opowiedziała mi resztę o tym przytułku dla starców: to dobra robota. Moja matka, dodał po chwili, niedługo skończy osiemdziesiąt lat, jest prawie ślepa i nie ma nikogo, kto by o nią zadbał: całe życie pracowała na roli od wschodu do zachodu słońca, a teraz nie ma kto jej zrobić obiadu, widzi siostra, jaka to żalność? Jeszcze większa żalność mieć syna złoczyńcę, takiego jak ty, odparła mniszka, jeżeli tak się martwisz o matkę, to powinieneś wrócić do niej i poprawić się. Poprawić? Ja? - odparł kpiąco rozbójnik, gdzie tam, przecież mi nie dadzą. Co do mojej matki, dodał, to wiem, że jest ze mnie dumna; nie mówi tego, ale jest dumna. Milczał przez chwilę, pochłonięty własnymi myślami; po czym, podejmując rozmowę, powiedział: Siostra jest szlachetną osobą, ale stuka nie do tych drzwi, co trzeba; Augusto Aixelà to, za przeproszeniem, łajdak i skapiec, zedrze z człowieka skórę i nie da grosza; wszyscy bogacze są tacy; gdyby tacy nie byli, nie byłiby bogaczami; ja wielu takich okradłem i dobrze ich znam, jak człek kradnie, to się uczy niekiepskiej psychologii. Przed naładowaną strzelbą ludzie bardziej się starają wybielić, siostrzyczko, niż w konfesjonale, proszę mi wierzyć. A ty się uspokój i przestań gadać głupstwa, powiedziała siostra Consuelo. To nie są głupstwa, odparł rozbójnik, tylko czysta prawda, ale siostra nie chce jej słyszeć, bo jest jak zauroczona: ten fircyk zawrócił siostrze w głowie swoimi pociesznymi manierami i tą niby wspaniałomyślnością; a to tylko szalbierstwo; niech mnie siostra posłucha, to nie jest odpowiedni mężczyzna dla siostry; w innych sprawach, proszę bardzo; ale serca niech mu siostra nie oddaje, jeśli go nie chce stracić na zawsze. Zakonnica, osłupiała ze zdumienia, patrzyła na rozbójnika. O czym ty mi tu mówisz? Ranny uśmiechnął się smutno i odparł: O tym, co widziałem i co wiem; żeby zostać bandytą jak się patrzy, trzeba być dobrze poinformowanym, a ja jestem, o, proszę spojrzeć. Krzywiąc się z wysiłku zdołał wyciągnąć z kieszeni spodni brudną i wymiętą kopertę, którą pokazał zakonnicy; ta zaś natychmiast rozpoznała swój własnoręcznie napisany list. Skąd to masz, bezwstydniku? - wykrzyknęła. Siostra sama go dała listonoszowi, powiedział przestępca, a on dał mnie, ot, jakie to proste, prawda? Wyciągnęła rękę chcąc odebrać mu kopertę, ale on był szybszy i w porę cofnął ramię. Zakonnica rozplakała się i powiedziała: To jest poufny list do Matki Prowincjalnej; nie masz prawa wiedzieć, co zawiera. Niech się siostra nie przejmuję, odparł bandyta, tylko siostra i ja znamy zawartość tej koperty i wiemy o jej istnieniu, a ja potrafię trzymać gębę na kłódkę. Mówiąc to podał list; potem wrzucił w ogień strzępki papieru; blask płomieni

przywrócił na moment rumieńce ich pobladłym twarzom. Siostry miejsce jest nie za kratami klasztoru, tylko w tym schronisku, co to będzie nim siostra kierowała, mruknął rozbójnik, kiedy zgasła ostatnia isierka; teraz winna mi jest siostra tę przysługę.

Gdzieś daleko rozległo się wycie psa albo wilka. Zakonnica przemyśla i zdezynfekowała ranę bandyty i dała mu środek uspokajający. Rozbójnik spał w pobliżu ognia; przykryty aż po brodę kocem, szcząkał zębami. Od czasu do czasu otwierały się drzwi i wsuwał głowę „lo coix”, który patrzył chwilę na herszta i pytał: No jak tam? Odpoczywa, a co z penicyliną? Hilario jeszcze nie wrócił. Która godzina? - pytała mniszka. Zostawszy sama z bandytą siostra Consuelo drzemała. Chcę pić. Obudziła się słysząc tę prośbę rannego i była zakłopotana, tak jakby popełniła błąd pozwalając sobie na drzemkę; przeżegnała się machinalnie, a potem dała rozbójnikowi coś do picia. Już mi jest o wiele lepiej, powiedział, ale kiedy siostra Consuelo położyła mu dłoń na czole, stwierdziła, że jest zroszone zimnym potem. To cię oduczy napadać na ludzi, powiedziała do niego łagodnym głosem. Rozbójnik uśmiechnął się. Nie nadaję się do innej roboty, odparł, urodziłem się zły, a społeczeństwo uczyniło mnie jeszcze gorszym. Też mi wymówka! - powiedziała przeorysza. To nie wymówka, siostrze, taki jest świat: dobrego człowieka upodli, a temu, co jest i tak zły, da powody, żeby nadal był zły, to szczerza prawda. Niech siostra zapomni, czego ją nauczyci w klasztorze, ciągnął, i rozejrzy się dookoła; zobaczy siostrze, jaki jest naturalny porządek rzeczy: bezbronnego ptaszka pożera jastrząb, ale jastrzębia nikt już nie pożre; natura jest tchórzliwa i bezlitosna; ludzie też. Prawa zostały ustanowione przez bogaczy, aby mogli trzymać na smyczy biedaków i zachować swoje przywileje. Bogaczom nie przeszkadza, że prawo jest surowe, bo nie znając niedostatku nie mają też powodu, aby łamać prawo; łatwo jest być milionerem i orzekać: dziesięć lat więzienia za kradzież dziesięciu brudnych duros. Sędziowie i policja służą bogaczom, a o świętej Matce Kościele lepiej nie mówić: księża to błazny zabawiające moźnych; biskupi to balony nadęte bździnami, a papież w Rzymie to, za przeproszeniem, stara zwariowana kurwa.

Jeżeli dalej będziesz wygadywał te głupoty i bezbożne świństwa, przerwała mu energicznie zakonnica, to pójdę sobie i niech cię kurują twoi ludzie. Już nic nie będę mówił, nie chcę siostry obrażać, powiedział bandyta, ale jestem przekonany, że w głębi duszy siostrze myśli tak jak ja. Tak jak ty to myśli tylko paru pomyleńców, odparła mniszka, i tym się wyróżniacie. Poza tym, dodała, jestem pewna, że nie jesteś taki zły, za jakiego próbujesz uchodzić. Siostrze tak uważa, bo jest święta i nie zna świata ani ludzi, powiedział rozbójnik. Znam go wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że nie powinniśmy nawzajem się osądzać, powiedziała zakonnica. Milczał przez chwilę, a kiedy już się zdawało, że uważa rozmowę za zakończoną, dorzucił nagle takim tonem, jakby głośno myślał: Aby oderwać się od tego dna nędzy i otępienia, na które skazał mnie los, chwyciłem za broń podczas wojny domowej jeszcze jako dzieciak; wynik wojny oczywiście tylko pogorszył moją sytuację; przecierpiałem trzy lata i po tych trzech latach byłem tak samo goły jak pierwszego dnia i na dodatek musiałem uciekać przed sprawiedliwością, która służyła tylko jednemu ideałowi, a było nim zaspokojenie żadnych

krwi zwycięzców. Żyjąc w biedzie na wygnaniu przysiągłem sobie, że wrócę; nie chciałem zemsty, tylko sprawiedliwości. Byłem marzycielem, wierzyłem, że mój sztandar przyciągnie biedaków pozbawionych majątku. Ale w praktyce okazało się, że poszła za mną garstka analfabetów; i teraz razem z nimi napadam na innych nieszczęśników i rabuję im pieniądze, których na pewno oni potrzebują bardziej niż ja; dlatego uznano mnie za bandytę i terrorystę: każdy może strzelać do mnie jak do drapieżnika. Więc sama siostra widzi, jaki to marny interes urodzić się nędzarzem w tym cholernym kraju.

O czwartej nad ranem wszedł „lo coix”. Hilario powinien być już dobrą godzinę temu, powiedział zatroskany, jeżeli wpadł w łapy policji, trzeba będzie się stąd zabierać. Nie ma mowy, powiedziała zakonnica, ten człowiek jest w takim stanie, że nie wolno go ruszać, chyba że na noszach i tylko po to, aby zawieźć go do szpitala; to poważna sprawa, trzeba mu natychmiast wstrzyknąć penicylinę; jeżeli Hilario nie wróci, sama pójdę po nią. Siostra stąd nie wyjdzie, powiedział „lo coix” groźnym tonem. Daj spokój, odezwał się bandyta, nie ma czego się bać; nawet gdyby złapali Hilario, on im nie wygada, gdzie jest nasza kryjówka, a jeżeli wygada, to na jedno wychodzi: policja nie odważy się iść w te góry; żeby nas stąd wygarnąć, muszą mieć do pomocy wojsko, a tego nie uda im się załatwić, choćby Augusto Aixelà co miesiąc jeździł do Madrytu, żeby uchlać się razem z ministrem, przepraszam za wyrażenie. Tutaj jesteśmy bezpieczni, ciągnął, a co do penicyliny, to jeszcze zdąży się ją wstrzyknąć, na razie nie mam zamiaru umierać. Co siostra o tym myśli? - spytał zastępca herszta. Nie wiem, dlaczego was interesuje, co ja myślę, skoro i tak nie zechcecie mnie słuchać, powiedziała siostra Consuelo, ja nie bardzo się znam na medycynie ani też nie mam odpowiednich środków; infekcja może się rozszerzyć na cały organizm, jeżeli nie będziemy działać szybko; powinien go obejrzeć lekarz i w razie konieczności zdecydować się na zabieg chirurgiczny. Co takiego? Żeby mi obciąć nogę? - wtrącił się rozbójnik. To już raczej wolę umrzeć. Nie jest tak źle, powiedział „lo coix”. Zakonnica podała zastępcy herszta miednicę. Zagotuj jeszcze wody, powiedziała, zmienię mu opatrunek. Kiedy to robiła, dostrzegła na nodze chorego pierwsze symptomy gangreny. Czy coś nie tak? - zapytał. Nie, skłamała, nie wygląda to źle, ale koniecznie potrzebujemy penicyliny. Nie mam czucia w nodze od kolana w dół, powiedział bandyta. To z powodu leków przeciwbólowych, odparła zakonnica, i chcąc zmienić temat rozmowy zapytała: W jaki sposób cię zraniono? Przyjemności mego zawodu, wyjaśnił; byłem w Bassorze i wracając natknąłem się na policję; po tych ulewach strumień był rwący, woda gwałtownie przybrała: nie mogliśmy się przez niego przepawić i musieliśmy iść wzdłuż brzegu aż do mostu; no i policjanci nas dogonili; wykorzystali to, że opuściłem moje terytorium. A po co byłeś w Bassorze? Miałem parę spraw do załatwienia w banku, powiedział rozbójnik. Domyślam się, jakie to były sprawy, zażartowała zakonnica. Rozbójnik uśmiechnął się szelmowsko. Myli się siostra: to była absolutnie legalna operacja bankowa; a prawdę rzekłszy operacja, która dotyczy siostry. W ciągu ostatnich kilku miesięcy, dodał, nim zdążyła okazać zdumienie, moje interesy dobrze szły i postanowiłem rozsądnie zainwestować tę fortunę, jaka mi się uzbierała; co tam, mnie pieniądze nie na wiele się przydadzą. Odchrząknął i mówił dalej:

Mój kuzyn pracuje w banku w Bassorze; powiedział mi, jak trzeba przeprowadzić taką operację, no i gotowe. O tej porze, jeżeli bank wszystkiego dopełnił, już pewnie nadszedł do siostry transfer na dwa miliony peset z przeznaczeniem na sfinansowanie przytułku dla starców; wobec takiego kapitału odnośne władze nie będą miały innego wyjścia, jak otworzyć kabzę. Oczywiście, ciągnął bandyta, w dokumentach nie figuruje żadna wzmianka o tym, skąd pochodzą pieniądze, i nie wydaje mi się, żeby można to było sprawdzić; ja także wolałbym utrzymać rzecz w tajemnicy, tak aby siostra nigdy nie dowiedziała się, kim jest ofiarodawca, ale skoro już sprawa wyszła na jaw, a los zrządził, że przez całą tę noc byliśmy razem, to nie mogłem sobie odmówić przyjemności powiedzenia o tym siostrze. I na koniec oświadczył: Nie musi mi siostra dziękować. Siostra Consuelo popatrzyła badawczo na niego, aby się upewnić, czy nie kłamie, i ujrzała w jego oczach błysk szczerości, niewątpliwej i nieobliczalnej. Nie wierzę własnym uszom, mruknęła. Ależ to prawda, powiedział rozbójnik, dowodem na to jest moja noga; jak siostra widzi, nie można wdawać się w pertraktacje z bankami i wychodzić z tego bez szwanku. Przecież wiesz, że nie mogę przyjąć tych pieniędzy, wykrzyknęła zakonnica. Ani ich odrzucić, powiedział, to jest dar od bezimiennego dobroczyńcy dla zakonnej wspólnoty, do której siostra należy: przyjęcie lub nieprzyjęcie daru to już nie jest siostry sprawa. A choćby i tak było, dodał, to właściwie dlaczego nie miałyby go siostra przyjąć? Przytułek to dobra rzecz i ja chcę w jakiś sposób dopomóc; nie miałem w życiu wielu okazji, żeby zrobić coś dobrego, więc może w godzinie sądu Pan Bóg weźmie to pod uwagę i zbawi moją duszę. Nie kpij sobie z tego! - przerwała mu zakonnica, zbawienia nie można kupić, a już na pewno nie za zrabowane pieniądze. Ach, siostrzyczko, Kościół głosi co innego, kiedy zabiega o względy bogaczy, odparł bandyta. A po dłuższym milczeniu dorzucił: Nie chcę siostry okłamywać; to prawda, że przytułek wydaje mi się dobrym pomysłem, ale to nie jest powód, dla którego tak właśnie postąpiłem. Rzecz ma się tak, że żywię dla siostry pewną skłonność, bardzo szczególną i absolutnie uczciwą, i bardzo proszę, niech mi siostra nie każe mówić więcej. Wiem, że w siostry oczach jestem człowiekiem upadłym i niktzemnikiem, ale proszę nie myśleć, że obce mi są wszelkie uczucia. Bandyta zamilkł, a siostra Consuelo popadła w zadumę rozważając to, co od niego usłyszała. Nie wiem, czy Bóg poddaje mnie ciężkiej próbie, czy też drwi ze mnie, mówiła sobie w duchu. Zaczęło się rozwidniać, bandyta znów zapadł w niespokojną drzemkę, a zakonnica trzęsła się z zimna: wiejski przyodziewek, który jej dano, nie chronił jej wystarczająco przed porannym górskim chłodem i zimną rosą przenikającą przez ubrania. Próbowała rozpałcić na nowo ogień rozgrzebując kijem rozżarzone węgle, ale osiągnęła tylko tyle, że z paleniska podniosła się chmura białawego popiołu, a hałas obudził chorego. Niech siostra okryje się moim kocem, powiedział rozbójnik, mnie już i tak wszystko jedno. Siostra Consuelo podniosła się z trudem i zaczęła sobie rozcierać zdrętwiałe stawy. Pójdę zobaczyć, czy „lo coix” nie ma jakiejś derki, którą by mi mógł pożyczyć, powiedziała. Kiedy szła, pod jej stopami chrzęściła oszroniona trawa. Hilario jeszcze nie wrócił, powiedział na jej widok „lo coix”, boję się najgorszego. Bardzo mi zimno, uzaliła się zakonnica. Mężczyzna wyciągnął z kieszeni baranicy butelkę wódki. Niech siostra sobie tyknie na rozgrzewkę, nic innego nie mogę zaproponować. Nie używam napojów alkoholowych, nie mam tego zwyczaju, ale

wezmę butelkę: myślę, że pokrzepi chorego, odparła, i zaraz wróciła do schroniska. Gdy już tam weszła, odkorkowała wódkę i wypła łyk prosto z butelki, po czym musiała uderzyć się dłonią w klatkę piersiową, żeby powstrzymać atak kaszlu. Powinna siostra wstąpić do mojej bandy, zaśmiał się rozbójnik, ot, prawdziwa żołnierka z siostry. Nie wiem, jak wam może smakować ta siwucha, odparła siostra Consuelo podając mu flaszkę. Rozbójnik pociągnął mały łyk i wzdrygnął się. Rozgrzewa ciało, odpędza troski i dodaje odwagi, powiedział, czego chcesz więcej. Co do tego pierwszego to zgoda, powiedziała zakonnica. A co by rzekł na to biskup, jakby zobaczył, że siostra pociąga z butelki? - spytał kpiącym tonem bandyta. Nie wiem, odparła. A ja wiem, powiedział, tak czy owak, on nie spędził nocy pod gołym niebem, a nie ma nic łatwiejszego, jak grzmieć na innych leżąc wygodnie w łóżku. Dobrze, dobrze, nie pij więcej i nie próbuj mnie pouczać; to ja powinna bym ci nagadać do słuchu, a nie zrobiłam tego. To prawda, rzekł bandyta, siostra jest cudowna: jeżeli siostra powiesi habit na kołku i wyjdzie za mnie, przysięgam, że stanę się uczciwym człowiekiem. Upiłeś się, powiedziała zakonnica odbierając mu butelkę, którą chciała zwrócić właścicielowi. Ale kiedy już miała wyjść, drzwi otworzyły się nagle i do izby wszedł „lo coix”; butelka upadła na ziemię i roztrzaskała się. Hilario wrócił, powiedział zastępca herszta, policja czatowała na niego przy wejściu do Szpitala, tam go wzięli; kazali mu powiedzieć, gdzie jesteście, obcieli mu uszy i przysłali tutaj, żeby nas uprzedził, że już idą. Zapadło krótkie milczenie, które przerwała siostra Consuelo pytając: Po co uprzedzają nas o ataku? Żeby nastraszyć ludzi, odparł „lo coix”, ledwo usłyszeli nowinę, rzucili broń i pobiegli oddać się w ich ręce. Siostra Consuelo wyjrzała przez okno: polana przed schroniskiem była pusta. Myślałam, że nie boją się policji, powiedziała. Policji nie, odparł „lo coix”, ale teraz sprowadzono posiłki: straż leśną, falangistów z Bassory i pluton piechoty; ten skurwysyn Augusto Aixelà dopiął swego, nie ma co się opierać. Rozbójnik usiłował wstać z postania, ale nie dał rady. Ty uciekaj, rzekł do tamtego, a ja postaram się ich zatrzymać; jeśli się gdzieś przyczaisz w dzień, a nocą będziesz szedł, za trzy dni dotrzesz do Francji, no już, spadaj, byle szybko. „Lo coix” odwrócił się i utykając oddalał się, by zejść z boczem góry. A teraz wyjdzie siostra, rozkazał bandyta zwracając się do zakonnicy, proszę iść przez polanę, z podniesionymi rękami; nie sądzą, żeby strzelali do kobiety. A ty? - spytała siostra Consuelo. Rozbójnik wzruszył ramionami i powiedział: Ja już jestem gotów; prędzej czy później musiało to na mnie przyjść; ale niech się siostra nie martwi, moja śmierć to mała strata, a zawsze zostaną jeszcze mój kuzyn głupek i mój kuzyn bankier, żeby zadbać o ciągłość gatunku. Nie bądź niemądry, powiedziała zakonnica, uciekać nie możesz, ale możesz sam się poddać, tak jak to zrobili twoi ludzie; osądzą cię, pójdiesz na parę lat do więzienia, a potem cię wypuszczają; kara nie może być bardzo wysoka: w końcu nikogo nie zabiłeś. To siostra mówi głupstwa, odparł rozbójnik, podziurawia mnie kulami, jak tylko mnie zobaczą. Wcale nie, upierała się siostra Consuelo, rób, co ci mówię, pójdziemy razem: bezbronnego nie będą śmieli zabić, bo ja będę świadkiem. Bandyta skrzywił się i powiedział: To cwaniacy, najpierw strzelą do mnie, a potem do siostry i powiedzą, że w trakcie potyczki zabiła siostrę zabłąkana kula. Ledwo to wymówił, góry zahuczały echem pobliskich detonacji. Co to było? - spytała siostra Consuelo. „Lo coix”, odparł rozbójnik. Czyżby go zabili? Tego nigdy się nie dowiemy i nie

powinno to siostry teraz obchodzić, powiedział bandyta, niech siostra pomyśli o własnej skórze.

„Nie ruszać się! Policja!” . Co to takiego? - spytała przerażona. Megafon, powiedział bandyta, już są tutaj, sama siostra widzi, że nie trzeba było się spierać. A teraz przepadło, proszę mi podać karabin maszynowy. Chyba nie masz zamiaru się bronić w tej klitce. Nie; jeżeli przyjdzie wojsko, będą mieli moździerze, powiedział bandyta, wyjdę na zewnątrz; może dzięki zaskoczeniu uda mi się jakoś przedrzeć między liniami oblegających. Siostra Consuelo dała broń bandycie i pomogła mu usiąść; on zaś odpiął swój pistolet od pasa i wręczył go zakonnicy. Siostra podejdzie do okna i będzie mnie osłaniać, rozkazał. Ale ja nie umiem strzelać! - wykrzyknęła przeorysza. Trzeba tylko nacisnąć na spust, powiedział zniecierpliwiony, strzeli siostra trzy razy i zaraz potem rzuci się na ziemię; a celować wysoko, żeby przypadkiem siostra kogoś nie trafiła. Siostra Consuelo podbiegła do okienka, a bandyta, skacząc na jednej nodze, dotarł do drzwi. W niewielkiej odległości od schroniska można było zobaczyć mężczyzn, którzy biegli pochyleni i kulili się za skałami. Ptaki przerwały swe poranne igraszki i dokoła panowała pełna napięcia, straszliwa cisza. Rozbójnik, oparłszy się o zawiasy drzwi, chwycił w garść karabin i krzyknął: Strzelać! Jednocześnie całym ciężarem ciała popchnął drzwi i wyskoczył z izby strzelając seriami. Siostra Consuelo wychyliła się przez okno i też strzeliła; broń, na skutek odrzutu po strzale, omal nie wypadła jej z rąk; chwyciła ją mocniej i oddała jeszcze dwa strzały, myśląc przy tym: Jakże ja mam być zakonnica, jeżeli robię wszystko, co mi każą mężczyźni? Na zewnątrz znów zaterkotał karabin maszynowy bandyty. Mniszka rzuciła się na ziemię i usłyszała salwę; chmara pocisków z gwizdem przeleciała nad jej głową i roztrzaskała ścianę naprzeciw okna. Kiedy zapadła cisza, zakonnica otworzyła oczy i podniosła głowę. Poprzez obłok pyłu wypełniającego pomieszczenie dostrzegła chwiejącą się w otwartych drzwiach postać bandyty. Wypuściła pistolet z ręki i podbiegła do mężczyzny, aby go podtrzymać, ale on już się osunął na ziemię. Przysiadła obok niego i umieściła sobie na kolanach jego głowę, jak na poduszce. Trafili cię? - spytała, ale odpowiedź była oczywista, bo ranny leżał w kałuży krwi, a jego głos z trudem dało się słyszeć. Na nic nasz wybieg, syknął. Siostra Consuelo szukała jakiejś szmatki, żeby zatamować krwotok. Niech siostra to zostawi, powiedział bandyta, i proszę dać mi rękę: nie chcę umierać samotnie. Nie umrzesz, zaraz przyniosą ci penicylinę, powiedziała zakonnica; tak czy inaczej, dodała, nie byłoby od rzeczy, gdybyś odmówił akt skruchy. Bandyta pokręcił głową i odparł: Nie, siostro, ja niczego nie żałuję; najwyżej tego, że nie zrobiłem więcej szkód, kiedy miałem okazję: nienawidzę społeczeństwa i nienawidzę ludzi; umarłbym zadowolony, gdybym wiedział, że po mojej śmierci będzie jeszcze więcej powodzi i trzęsień ziemi, pożarów i epidemii; chcę, żeby były wojny, zagłada i rzezie, żeby światem władała zbrodnia i rozpacz; ludzie nie zasługują na pokój ani miłosierdzie, a Bóg też nie. Niech będzie przeklęty cały świat i ten, kto go stworzył. W tej chwili odwołał to, co powiedział, rzekła zakonnica, to zupełna głupota iść do piekła z powodu urazy do świata. Bandyta utkwiał oczy w siostrę Consuelo, spojrzenie miał szkliste, szepnął: Nie wierzę w piekło ani w

niebo; a jeśli nawet istnieją, to mnie i tak wszystko jedno. Nie chcę nic wiedzieć o tym układzie, który nagradza hipokrytów, a skazuje pogrążonych w rozpacz. Schronisko zapełniło się ludźmi, którzy mierzyli do nich obojga ze swoich karabinków. Nie strzelajcie, powiedziała siostra Consuelo, ten człowiek nie żyje, a ja nic wam nie zrobię.

Nie zważając na nic, wyciągnęli ją ze schroniska; kiedy się potykała i upadała, poganiali ją szturchańcami i bili kolbą każąc iść dalej. W końcu postawili ją pod skalną ścianą, a sami cofnęli się o kilkanaście kroków. Kiedy już się szykowali, żeby ją zabić, odezwał się czyjś głos: Nie strzelać! Oficer dowodzący plutonem dał odpowiednią komendę i zmierzył wzrokiem mężczyznę, który śmiał przerwać egzekucję. Siostra Consuelo rozpoznała w swym wybawcy komendanta Lastre. Oficer piechoty, dowódca falangistów i policjant odeszli na bok, żeby się naradzić. Ze swego miejsca pod skałą siostra Consuelo widziała, jak komendant raz po raz wskazuje na nią palcem, i domyśliła się, że wymawia nazwisko Augusta Aixeli; wyrazisty gest komendanta sprawił, że falangista wykrzyknął na cały głos: O do diabła, kto by to pomyślał! Trzej mężczyźni patrzyli na nią z zainteresowaniem i wymieniali między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Po czym komendant Lastre odłączył się od grupy, podszedł do czekającej na egzekucję zakonnicy i powiedział: Proszę ze mną, siostrze. Nikt nie protestował, gdy zakonnica i policjant opuszczali pole tej krótkiej bitwy i zaczęli schodzić po zboczach góry. Poranna mgła rozwiewała się, w miarę jak szli, i bez trudu dotarli na polanę; tam straż leśna pilnowała pojazdów służących do transportu wojska. Komendant Lastre pomógł siostrze Consuelo wsiąść do policyjnego samochodu, ruszył z miejsca i po kilku minutach znaleźli się znów na szosie; wtedy zwrócił się do mniszki: Proszę mi opowiedzieć, co się stało. Nie ma czego opowiadać, odparła, prosili mnie, żebym się zajęła rannym mężczyzną, więc się zgodziłam, nie wiedząc, o kogo chodzi; ale muszę panu powiedzieć, że gdybym wiedziała, wcale nie postąpiłabym inaczej. Rozumiem, rzekł komendant, a co siostrze opowiadał ten rozbójnik? Nic, odparła siostra Consuelo. Nie może być, zdziwił się komendant, spędziliście razem całą noc, więc coś przecież musiał powiedzieć. Już panu mówiłam, że niczego mi nie opowiadał, upierała się zakonnica, był ciężko ranny i miał gorączkę, majaczył. Rozumiem, powtórzył komendant, i w ten sposób zostanie to zapisane; postaram się też, żeby siostry nazwisko nie pojawiło się w raporcie; poprzestanę na stwierdzeniu, że w chwili, gdy mnie tam sprowadzono, razem z denatem była osoba, którą wbrew jej woli zmuszono do pielęgnowania go. Zakonnica spojrzała na komendanta Lastre, on jednak patrzył na szosę i z wyrazu jego twarzy nie można było poznać, co sobie myśli. Siostra Consuelo, świadoma tego, że czuć od niej prochem i wódką, szepnęła: Dziękuję, panie komendancie. Komendant odpowiedział chrząknięciem; po dłuższej chwili siostra Consuelo spytała: Dokąd mnie pan wiezie? Do Szpitala oczywiście, odparł komendant. Zakonnica przestraszyła się: Nie, nie, na Boga, do Szpitala nie mogę, jeszcze nie; proszę mnie zawieźć do dworu don Augusta Aixeli, błagam pana. Komendant zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział, a na pierwszym skrzyżowaniu skręcił w stronę dworu. Przed bramą zatrzymał samochód i zapalił papierosa. Będzie tu czekał, rzekł, niech siostra nie siedzi długo. Zakonnica, zbyt wyczerpana, żeby się klócić, skinęła głową, wysiadła z auta i weszła do ogrodu. Pudenciana wstała tego dnia o świcie, naostrzyła nóż i obcięła głowy dwóm kurczakom; kiedy zaczynała je skubać, usłyszała huk strzałów w górach i przeżegnała się. Potem

znów pograżyła się w swym monotonnym zajęciu aż do chwili, kiedy oderwało ją od pracy żalosne wycie psów. Ktoś umarł, pomyślała; ta myśl ją zaniepokoiła, a jeden z psów wykorzystał sytuację i ukradkiem zjadł drobiowe żołądki. Pudenciana wyszła do ogrodu. W pierwszej chwili nie wiedziała, kim może być obdarta i rozczochrana istota, wchodząca przez furtkę: najpierw sądziła, że to jakaś Cyganka; później, że żebraczka po prośbie; w końcu, że nieboszczka, która dopiero co wstała z grobu. Twarz miała bladą i pozbawioną życia, usta wyschnięte, błędne spojrzenie, a idąc stawiała chwiejne kroki, jak ślepiec, który po omacku posuwa się po niebezpiecznym terenie; jej ubranie było pokryte rdzawymi plamami, podarte i poszarpane w stopniu urągającym przyzwoitości. Na widok tej zjawy psy warczały, nie decydując się na spełnienie swego nieskomplikowanego zadania. Gdy Pudenciana zbliżyła się do niej, patetyczna postać przystanęła i otworzyła usta, ale nie zdołała wymówić słowa; po chwili rozłożyła ramiona, zwracając otwarte dłonie na zewnątrz, i po tym geście, właściwie niczym nie uzasadnionym służąca poznała siostrę Consuelo, spostrzegła, że pokaźne plamy na jej ubraniu to zakrzepła krew, i zawładnęło nią ogromne współczucie dla tej zbolelej i półprzytomnej kobiety, na którą spadło tyle cierpień, strachu i przemocy i która tylko dzięki szaleńczej determinacji zachowała resztki rozsądku. Pudenciana rzuciła się ku przybyłej, a kiedy tuliła ją w ramionach, krew z zarzniętych kurczaków płamiąca fartuch służącej połączyła się z krwią zabitego rozbójnika. Kto cię tak sponiewierał, dziecinko? - wykrzyknęła, a zakonnica, jakby te słowa i współczujący uścisk skruszyły resztki jej równowagi duchowej, wybuchnęła piskliwym płaczem i dostała takich konwulsji, że psy niezdolne dostrzec w tym jej zachowaniu cech typowych dla ludzkiej istoty, wycofały się ze zwieszonymi łbami i podkulonymi ogonami. Służąca, nie wiedząc, co o tym wszystkim sądzić, po prostu coraz mocniej tuliła nieszczęsną do piersi, w obawie, że zakonnica upadnie i zrobi sobie krzywdę, jeżeli wyzwoli się z jej uścisku. Za furtką komendant Lastre, siedzący na stopniu swego samochodu, palił papierosa i udawał, że nie widzi, co się dzieje, tak jakby zupełnie go nie dotyczyły te babskie sprawy. Po pewnym czasie kwilenie mniszki zaczęło cichnąć, lament ustał i biedaczka po trochu odzyskała panowanie nad sobą. Odchrząknęła, aby oczyścić sobie gardło, i szepnęła do ucha Pudencianie: A on? Kobieta zwlekała z odpowiedzią. Wyjechał. Nie mówił dokąd ani na jak długo, ale wziął ze sobą walizki, jakby to miało być na dłużej. I nie zostawił żadnej wiadomości dla mnie? Choćby listu? - zapytała siostra Consuelo z odrobiną nadziei w oczach. Mnie nic nie dawał, odparła taktownie tamta, ale proszę pójść ze mną do domu i rozejrzeć się po gabinecie, czy nie ma tam czegoś takiego.

Pudenciana podtrzymywała swymi jędrnymi ramionami bezsilną zakonnice. Na zakręcie ścieżki pojawił się człapiący niezgrabnie ogrodnik; wysunawszy koniec języka, trzymał oburącz kosz pełen czarnej ziemi. Siostra Consuelo wzdrygnęła się dostrzegając nadzwyczajne podobieństwo przyglupka do człowieka, który tak niedawno umarł na jej oczach. Idiota uniósł kosz, aby pokazać jego zawartość obu kobietom: między grudami ziemi widać było rydze i smardze, które na skutek uporczywych deszczów pokazały się wcześniej niż zwykle. Śmiał się na całe gardło, tak jakby to była najzabawniejsza rzecz

na świecie. Minęły go nie zatrzymując się, a on stał w miejscu, skruszony i smutny.

Wchodząc do domu Pudenciana powiedziała: Na pewno siostra osłabła z głodu; proszę sobie usiąść i odpocząć, a ja ugotuję na śniadanie trochę kleiku. Nie, bardzo proszę, nie, zaprotestowała gwałtownie siostra Consuelo, nie jestem głodna. Jeśli nie chce się siostra pochorować, musi się odżywiać, oświadczyła służąca, proszę chwilę poczekać w gabinecie, a ja zaraz coś przyniosę. Zniknęła w korytarzu, a siostra Consuelo weszła do gabinetu; gorączkowo rozglądała się za jakimś pismem przeznaczonym dla niej, za czymś, co kryłoby w sobie wyjaśnienie lub obietnicę, ale na meblach nic nie leżało, a szuflady były zamknięte na klucz. Weszła Pudenciana z fajansowym kubkiem pełnym mleka. Jeszcze ciepłe, proszę spojrzeć, ledwie parę minut temu było w krowim cycku, powiedziała, niech siostra wypije: można pić i bez apetytu, a na wzmocnienie to po prostu nie ma nic lepszego. Nie mając na tyle silnej woli, żeby odtrącić poczęstunek, siostra Consuelo wypila zawartość kubka i powiedziała: Dziękuję, Pudenciano, a teraz chciałabym na chwilę zostać sama. Po wyjściu służącej usiadła na tym samym krześle co tamtego dnia, kiedy Augusto Aixelà po raz pierwszy przyjmował ją u siebie. Ileż to czasu upłynęło od tej wizyty? - zastanawiała się; miała wrażenie, że całe życie. Przymknęła powieki i poczuła, że wszystko wokół niej wiruje, otworzyła ponownie oczy i podniosła się z trudem, usiłując utrzymać równowagę. Z niedowierzaniem podeszła do kanapy, na której dokonało się jej uwiedzenie: była to kanapa obita skórą, podniszczona i wygodna; na obiciu można było dostrzec brunatną plamę. Świadectwo mojego zepsucia, pomyślała. Uklękła na podłodze i polizała plamę, ale poczuła tylko cierpki smak kurzu i garbowanej skóry. Poderwała się gwałtownie, przebiegła przez gabinet i znalazłszy się na ganku wymiotowała dopiero co wypite mleko. Purrriiissima! - wrzasnęła papuga widząc wymiotującą kobietę. Zakonnica wytarła dłonią podbródek i wyszła z domu. Ulewnie deszcze rozmyły ziemię w sadzie i zniszczyły plony; w stawie ciemna woda przelewała się przez brzegi. Siostra Consuelo zatrzymała się tuż nad nią i utkwiała wzrok w głębinie. Zaczęła się przechylać i w tym momencie usłyszała za swoimi plecami czyjś głos: Niech siostra uważa, ten staw jest zdradziecki, chociaż wcale na to nie wygląda. Mężczyzna, który to powiedział, stał spokojnie obok niej: był to Pepet, administrator. Komendant Lastre mówił, że zastanę siostrę we dworze, wyjaśnił, a ja mu powiedziałem, żeby odjechał i że sam ją odwiezę do Szpitala, całą i zdrową. Mrugnął okiem i dodał: Proszę mi nie robić kłopotu. Siostra Consuelo cofnęła się trochę i oderwała oczy od fascynującej ją niezgłębionej wody. Nie ma obawy, powiedziała pogodnym tonem. Widzi siostra, ot, jakie spustoszenia, powiedział administrator wzdychając doświadczonego spojrzeniem po sadzie; cmoknąwszy językiem, dorzucił: Jednego roku susza, a innego powódź, zawsze ta sama historia, chwalić Boga. Delikatnie ujął ją pod ramię i skłonił do odwrócenia się, po czym oboje ruszyli zmęczonym krokiem w stronę domu. Niebo było bezchmurne, a ptaki podfruwały między zwiędłymi warzywami i siadały na rozłożonych ramionach strachów na wróble.

Pewnie zainteresuje siostrę wiadomość, zaczął z wolna administrator, że wczoraj, późno w nocy, przyszedł do mnie don Augusto Aixelà. Wyciągnął mnie z łóżka i opowiedział, że pod wieczór miał wizytę komendanta Lastre, który go poinformował, iż rząd zgodził się w końcu przysłać posiłki celem oczyszczenia tego regionu z przestępców; komendant powiedział mu także, że według wszelkiego prawdopodobieństwa herszt bandy został ranny w niedawnym starciu z policją, a jeszcze tej nocy szykuje się wspólna operacja, w której razem z policją mają uczestniczyć regularne oddziały wojskowe i pomocnicze siły zbrojne przysłane w trybie natychmiastowym z Bassory. Zdaje się, że komendant Lastre pojechał potem do Szpitala, mając zamiar uprzedzić o tym siostrę i poradzić, abyście zamknęły wszystko na cztery spusty i nikomu nie otwierały; poza tym wydał rozkaz, żeby po zmierzchu nikt pod żadnym pretekstem nie opuszczał budynku, ale siostry nie było albo też z takich czy innych powodów nie mogła siostra go przyjąć, tak więc to ostrzeżenie, jak się przekonaliśmy, okazało się bezskuteczne. Don Augusto natomiast powiedział, że ze względu na taki obrót wydarzeń, w sytuacji gdy bandyci mogą liczyć na sympatyzujących z nimi mieszkańców osady, postanowił, dla własnego bezpieczeństwa, jak najszybciej wyjechać, nie mówiąc nikomu, dokąd się udaje ani na jak długo; dodał jednak przy tym, że jego nieobecność będzie z całą pewnością dłuższa niż zwykle, i polecił, abym to ja w tym roku zajął się wszystkim, co dotyczy winobrania. Ta decyzja, tak u niego niezwykła i ze wszech miar nieuzasadniona okolicznościami, na które się powoływał, bardzo mnie zdziwiła. Znam don Augusta od urodzenia, i od razu wiedziałem, że coś się kryje za tą ucieczką, toteż gdy zacząłem pytać, uzyskałem od niego odpowiedź, jakiej szukałem. Nie musiałem go ciągnąć za język, aby mi jej udzielił; mężczyznom łatwo przychodzi opowiadanie o tych rzeczach. Oczywiście, dorzucił skwapliwie, może mi siostra zaufać: jej sekret będzie przeze mnie zachowany; to, co zaszło między wami, nie obchodzi mnie; powiem więcej: gdy zakończymy naszą rozmowę, to nawet jeżeli się kiedyś spotkamy, nigdy więcej nie będę do tej sprawy wracał i bardzo proszę, aby siostra też do niej nie wracała. Prawdę rzekłszy, jeśli o tym wspomniałem, to dlatego, że poczytuję sobie za obowiązek powiadomić siostrę, iż Augusto Aixelà wyjechał i nie wróci, póki siostra tutaj pozostanie. Mówię to bez obłonek, bo nie mam zwyczaju owijać czegokolwiek w bawełnę i sądzę, że siostra będzie wolała znać prawdę, niż żywić złudne nadzieje. Zresztą, ciągnął dalej, przypuszczam, że moje słowa siostry nie zaskoczyły: brak doświadczenia w sprawach tego świata i przygnębienie oraz wstyd, jakimi z pewnością nappełniły siostrę niedawne wydarzenia, nie przeszkodziły jej przecież dostrzec, że wasz związek jest bez cienia wątpliwości skazany na niepowodzenie, nawet jeśli szczerze były miłosne przysięgi, które on zapewne składał. Przerwał na moment, po czym dodał: Augusto to porządny chłopak, ma złote serce, ale nie potrafi uniknąć tego, czego nie potrafi uniknąć, i basta. Proszę mu nie mieć za złe; siostra nie jest ani pierwsza, ani nie będzie ostatnia. Niech siostra o nim zapomni.

Obeszli dwór dookoła i znaleźli się w alejce prowadzącej do wyjścia. Siostra Consuelo przystanąła, odwróciła się spoglądając na dom, westchnęła i znalazła w sobie siłę, żeby, ruszając dalej, powiedzieć: To upokarzające wyznanie, ale obawiam się, że byłam

bardziej niewinna, niż pan przypuszcza. Wierzyłam w szczerść jego słów i gestów; któregoś dnia zaprowadził mnie do sypialni, gdzie umarła jego matka, i tam mogłam wyczytać w jego oczach prawdziwe uczucie. Don Pepet, dodała porywczo, w takich przypadkach mężczyźni nie kłamią. Stary rządca, wzruszył ramionami. Niektórzy kłamią, powiedział, matka don Augusta jeszcze żyje, mieszka w Madrycie. Mniszka uśmiechnęła się smutno. Jaka głupia byłam! - powiedziała. Niech się siostra nie unosi gniewem, poradził jej stary, tak czy inaczej, bardzo trudno było uniknąć tego, co się stało; nie znam kobiety, która by potrafiła się oprzeć don Augustowi, on zawsze umie im powiedzieć to, co chcą usłyszeć; nie robi tego z przebiegłości, to jest u niego spontaniczne, to rodzaj instynktu, prawdziwy dar. Siostra jest kobietą atrakcyjną, inteligentną, odważną i do tego zakonnica; Augusto zaś to myśliwy i kolekcjoner, nie mógł przepuścić tak rzadkiej zdobyczy; zrobiłby wszystko, byle ją mieć, siostra była i tak zgubiona, nawet gdyby stawiała dużo większy opór, bo prawdę rzekłszy opierała się siostra bardzo słabo. Tak, przyznała ona, ale czy jestem na tyle cenną osobą, żeby w sprawę zdobycia mnie angażować Ministerstwo Spraw Wewnętrznych? O nie, odparł administrator, don Augusto ma swój honor: nigdy nie łączyłby spraw prywatnych z polityką ani nie dopuściłby do tego, by skarbiec państwa ucierpiał z powodu jego miłosnych przygód; siostra z pewnością nigdy nie wierzyła, że on załatwił w Madrycie sprawę sfinansowania owego słynnego przytułku. A nie załatwił? - spytała siostra Consuelo. Nie, nawet mu to w głowie nie powstało, odparł administrator.

Tam gdzie przedtem stał samochód policyjny, teraz była zielona ciężarówka starego rządcy. Wsiadli do niej oboje i w milczeniu dojechali do Szpitala; gdy znaleźli się przed budynkiem i ucichło terkotanie wysłużonego silnika, administrator odezwał się: Niech mi siostra wybaczy, że w tak brutalny sposób powiedziałem to wszystko, a na to mniszka odparła: Dziękuję panu za to. Chciała mówić dalej, ale głos jej się załamał. Stary poklepał ją dobrotliwie po kolanie. Siostra jest wyczerpana, powiedział, musi siostra się wypaść, najeść i po kilku dniach zobaczy świat w innych kolorach; może to, co dziś wydaje się okropne, w końcu okaże się tylko śmieszne. Siostra Consuelo przytaknęła skinieniem głowy i wysiadła. Na platformie ciężarówki miauknął kot. Cała wspólnota zakonna, która zgromadziła się na wezwanie siostry furtianki, czekała w szpitalnym holu na przeoryszkę, aby zgotować jej triumfalne i radosne powitanie. Jak tylko dotarła do nas wiadomość, że matkę porwali bandyci, wszystkie zebrałyśmy się w kaplicy i śpiewałyśmy, i modliłyśmy się, żeby się matce nie stało nic złego, powiedziały mniszki. Nawet znajdujących się w Szpitalu chorych zerwano z łóżek i zaprowadzono do kaplicy, aby mogli dołączyć swe modlitwy do modlitw siostrzyczek. Tak wielkie błaganie nie może pozostać bezowocne, myślały, no i rzeczywiście tak się stało, niechaj będzie pochwalony Najświętszy Sakrament. Te pełne ciepła słowa rozczuliły siostrę Consuelo, którą od dłuższej chwili niepokoila myśl, że pojawi się w klasztorze w takim stanie, jakby wracała z hulanki; toteż uściskała swe towarzyski, przy czym obficie polały się łzy. Na szosie, podskakując, oddalała się w obłokach kurzu zielona ciężarówka administratora. Mniszki wciąż jeszcze dawały upust swym uczuciom, aż wreszcie siostra szafarka zdołała wyrwać siostrę

Consuelo z tego hałaśliwego grona i odciągnęła ją na bok. Wiem, że wielbna matka jest bardzo zmęczona, ale muszę ją o czymś powiadomić, i to niezwłocznie. Słucham, matko Millas. Szafarka, która aż do tej chwili wydawała się chłodna i opanowana, wybuchnęła nieoczekiwanym płaczem; za grubymi szklami okularów jej zalane łzami oczy przypominały dwa małe akwaria. To cud, szlochała, prawdziwy cud; dziś rano zjawił się tu we własnej osobie dyrektor banku i powiedział, że pewien anonimowy dobroczyńca podarował dwa miliony peset naszej wspólnoty, z przeznaczeniem na przytułek dla starców. Nie muszę mówić, że chociaż dyrektor banku stanowczo podkreślał, iż ofiarodawca chce utrzymać swoją tożsamość w najściślejszej tajemnicy, to przecież musiałabym być bardzo nierozgarnięta, gdybym się nie zorientowała, kim jest ten wielkoduszny altruista; i orientuję się również, kto umiał trafić do serca tej osoby poprzez swe ciche starania, posługując się modlitwą i świecąc przykładem. Szafarka wyjęła z rękawa chustkę i hałaśliwie wytarła nos, po czym powiedziała: W związku z tym pragnę wyznać wielbnej matce, że niejednokrotnie wątpiłam w trafność jej pomysłu i jej postępowania; nie przeczę, że często źle myślałam o matce, w jej skutecznych metodach widziałam przejawy innowierstwa i lekkomyślność, a w jej działaniach wyczuwałam tajemne dążenie do skupienia na sobie pochwał płynących ze świata. Teraz rozumiem, jak rozsądna była postawa matki i jak bardzo błędziłam ja sama; byłam podła i nielojalna; błagam matkę pokornie, aby mi przebaczyła i aby mnie ukarała. Siostra Consuelo uściskała szafarkę i ucałowała ją w oba wysuszone policzki. Proszę zapomnieć o tych drobnostkach, matko Millas, wykrzyknęła, tak jak to matka powiedziała, stał się cud, a teraz czeka nas mnóstwo pracy.

Przebudowę szybko doprowadzono do końca i na otwarcie nowego przytułku dla starców przybyły wybitne osobistości ze świata polityki i przedstawiciele Kościoła, ale nie było siostry Consuelo, ponieważ na krótko przed zakończeniem robót, którymi w praktyce osobiście kierowała i które zostały ostatecznie sfinansowane dzięki jej ryzykownym działaniom, została przez władze zwierzchnie przeniesiona do ośrodka opieki społecznej znajdującego się na drugim końcu kraju. Siostra Consuelo bynajmniej nie czuła się odepchnięta, lecz dostrzegła w tej decyzji szlachetny zamiar oszczędzenia jej pokusy mogącej prowadzić do pychy i pełna wdzięczności podporządkowała się rozkazom zwierzchników. Zakład, do którego ją posłano, był ubogi i w ruinie; siostra Consuelo dzięki swej energii i inteligencji w krótkim czasie przekształciła go we wspaniały nowoczesny ośrodek. Kolejne jej przeniesienia następowały po innych tego typu osiągnięciach; rozgłos, jaki zyskała siostra Consuelo i jej wytężona praca przy zakładaniu nowych ośrodków, sprawił, że stała się osobą ogólnie znaną i tak minęło trzydzieści lat, aż pewnego dnia, kiedy omawiała z architektami i budowniczymi jakieś techniczne szczegóły stawianego z jej inicjatywy domu, po prostu zemdląca. Gdyby mi się to zdarzyło dziesięć minut wcześniej, kiedy weszliśmy na rusztowanie, nic bym sobie z tego nie robiła, zażartowała odzyskawszy przytomność, jeszcze raz Pan Bóg mnie ustrzegł, po to abym nadal mogła mu służyć. Ale specjalista, który ją zbadał, był innego zdania. Powiedział: Niestety pierwsze symptomy pojawiły się zbyt późno, teraz już nic nie da się zrobić. Ile czasu mam jeszcze przed sobą? - zapytała. Lekarz wzruszył ramionami. Medycyna nie jest tak ścisłą wiedzą, odparł. Muszę to wiedzieć, panie doktorze, nalegała zakonnica, mam do załatwienia pewne sprawy, które wymagają mojej obecności. Przecież słyszała matka, co powiedział przed chwilą pan doktor, powiedziała Matka Prowincjalna, nikt nie jest niezastąpiony. Nie znamy dnia ani godziny, w której zaskoczy nas śmierć, wiemy jedynie, że musimy być zawsze gotowe do przyjęcia jej z czystą duszą i radosnym sercem, dodała poważnym tonem. Chora pochyliła głowę na znak zgody, ale powiedziała: Na litość, pozwólcie mi umrzeć w biegu. To niemożliwe, odparła stanowczo Matka Prowincjalna. Siostra Consuelo już się nie sprzeciwiała: rząd hiszpański od dawna nieufnie spoglądał na wielkie dzieło ośrodków opieki społecznej, które Kościół wznosił w ciągu wieków, władza, zazdrosna o swe pierwszeństwo, uznawała tę altruistyczną działalność za wtrącanie się w nie swoje sprawy i wciąż piętrzyła przeszkody; osoby takie jak ona, niegdyś otaczane wielkim szacunkiem, stanowiły obecnie pewną przeszkodę w stosunkach Kościoła z Państwem. Może dlatego Matka Prowincjalna chętnie by skorzystała z okazji, aby się jej pozbyć, pomyślała. Jestem zawadą dla zakonu, rzekła sobie w duchu z pewnym lękiem. A głośno powiedziała: Niech się dzieje wola Boga. Głos Matki Prowincjalnej wcale nie złagodniał, gdy oświadczyła na koniec: Wydałam polecenie, żeby przeniesiono matkę do ośrodka, gdzie będzie pod dobrą opieką; niech matka odpocznie, przygotowuje się do godnej śmierci i rozsądnie wykorzysta te dni życia, które Bóg Wszechmocny raczy jej dać. Nazajutrz siostra Consuelo wyruszyła do ostatniego miejsca swego ziemskiego pobytu. Nawet nie

chciała pytać, dokąd ją mają zawieźć, ale gdy już się zbliżano do celu, natychmiast rozpoznała te strony i zrozumiała, że pod pozorną oschłością Matki Prowincjalnej kryło się współczucie i delikatność. Zawsze nosiłam potajemnie w sercu to miejsce, zauważyła głośno. Zakonnica, która prowadziła samochód, uśmiechnęła się, To zrozumiałe, powiedziała, przecież to pierwszy przytułek założony przez matkę; na pewno dlatego dobra Matka Prowincjalna kazała tu przywieźć matkę dla poratowania zdrowia. A ty skąd o tym wiesz? - zapytała. O tej fundacji opowiadano nam w nowicjacie, odparła siostrzyczka nie odrywając oczu od znaków drogowych, wśród nowicjuszek zdobyła sobie matka wielką popularność, jeżeli wolno mi tak powiedzieć; a o tym, że właśnie z takiego powodu przenoszą matkę tutaj, nikt mi nie mówił, to ja sama się domyśliłam. Ach, te dzisiejsze zakonnice, jakie z was spryciary! - wykrzyknęła siostra Consuelo, za moich czasów wszystkie byłyśmy bezdennie głupie. Wielebna matka sobie ze mnie żartuje, zaśmiała się siostrzyczka, ale siostra Consuelo już jej nie słuchała.

Musiały przejechać przez Bassorę; ruch uliczny w mieście był tak duży, że zajęło im to sporo czasu i zmęczyło chorą, której cierpienia jeszcze się wzmogły. A może się gdzieś zatrzymamy, wielebna matko? Nie, moje dziecko, to już na pewno niedaleko, a ja chcę jak najprędzej znaleźć się na miejscu. Zabłądziły w dzielnicy pełnej nowych budynków, wysokich i prawie jednakowych; na parterze każdego z nich mieściły się warsztaty lub sklepy, teraz puste albo pozamykane, a na ulicach w ogóle nie widziało się przechodniów. Zakonnice natknęły się w końcu na jakiegoś człowieka niosącego walizkę i zapytały go, jak dojechać do San Ubaldo de Bassora. To jest właśnie San Ubaldo de Bassora, odparł mężczyzna z walizką, dawniej to była osada, a teraz przedmieście Bassory; a dokąd siostry jadą? Powiedziały, że do domu starców w San Ubaldo, i ów człowiek, który znał ten dom, chociaż, jak twierdził, nie był tutejszy, wytłumaczył im, jak mogą do niego trafić. Jakże się tu wszystko zmieniło! - wykrzyknęła siostra Consuelo, kiedyś tu wszędzie były pola, drogi nie były asfaltowane i tylko od czasu do czasu zjawiał się jakiś samochód. Popatrz, dodała niemal dziecinnym tonem, kościół jest tam, gdzie był, ale plac przed kościołem wygląda zupełnie inaczej; o, jużemy prawie dojechały, jak skręcimy za róg, zobaczymy wieże przytułku. Nie myliła się, ale ten powrót przyniósł jej więcej rozczarowania niż radości. Przytułek, przebudowany w połowie lat pięćdziesiątych przy użyciu bardzo kiepskich materiałów, a potem zarządzany nieumiejętnie i niedbale, tak samo jak dorównujący mu wiekiem szpital w Bassorze, którego budowa przyczyniła się niegdyś do jego powstania, po prostu się rozpadał i nie było na to rady. Jakiś czas temu wspólnota zakonna, nie będąc w stanie zająć się tą ruiną, przekazała ją Parlamentowi Katalonii; w holu, tam gdzie kiedyś obraz Matki Boskiej Bolesnej był niemy świadkiem grzesznego postępu przeorowsy, wisiała teraz na ścianie podobizna premiera Jordi Pujola.

Dyrektorka domu starców, zawiadomiona o jej przybyciu, osobiście pospieszyła na powitanie gościa. Była to kobieta w średnim wieku, oschła w obejściu, ale uprzejma i

energiczna; przeprosiła za nienajlepszy stan instalacji, dodając, że wielokrotne strajki personelu pielęgniarskiego były prawdziwą klęską dla ośrodka. Na szczęście sytuacja się poprawia, wyjaśniła zaraz, i mam nadzieję, że siostra nie będzie miała powodów, by się na cokolwiek skarżyć. Mówiła to wszystko prowadząc siostrę Consuelo do przeznaczonego dla niej pokoju; gdy się tam znalazły, poinformowała ją o rozkładzie zajęć i panujących w ośrodku zwyczajach. Jeszcze dzisiaj przyjdzie do siostry doktor Sūné, powiedziała, to nasz etatowy lekarz, który zapoznał się już z historią choroby siostry, jeśli będzie siostra czegoś potrzebowała, proszę bez żadnych skrpułów powiedzieć mi o tym. Siostra Consuelo pozwoliła siostrzyczce, która ją przywiozła, rozpakować walizkę i ułożyć rzeczy w szafie. Jestem pewna, że wielebna matka wkrótce odzyska zdrowie, powiedziała mniszka żegnając się z nią, wszystkie się o to modlimy. Zostawszy sama, siostra Consuelo wyjrzała przez okno: nie było już topolowej alei, gdyż na jej miejscu wznosiły się piętrowe budynki, nie było też potoku, bo zmieniono i uregulowano jego bieg, aby uniknąć zagrożenia powodzią w porze deszczów; ale w dali dostrzegła góry i z całą wyrazistością powrócił w jej pamięci dzień, kiedy pod jedną z tamtych skał omal jej nie rozstrzelano. Czasy się zmieniają, złudzenia rozwiewają się, tylko góry wciąż trwają, pomyślała.

Po południu odwiedził ją doktor Sūné. Co słyhać? Jak się czuje nasza chora? - spytał. Był to mężczyzna młody, postawny i jowialny. Panie doktorze proszę mi powiedzieć, ile życia mam jeszcze przed sobą, zaczęła błagalnym tonem, a widząc, że lekarz się zawahał, dodała ostrzej: I niech mi pan nie mówi, że medycyna nie jest wiedzą ścisłą. A pani uważa, że nią jest? - powiedział lekarz. Jestem tylko głupią mniszką, odparła siostra Consuelo. Doktor Sūné otworzył walizeczkę, którą przedtem postawił na stole. Wie pani, co to jest sfigmograf? - zapytał. Tak, oczywiście, to jest przyrząd do mierzenia ciśnienia tętniczego. No więc nie jest pani taką ignorantką, za jaką chce uchodzić. Proszę podwinąć rękaw i wyjaśnić mi, gdzie się pani nauczyła tych rzeczy. Przez całe życie pracowałam w szpitalach, powiedziała zakonnica. Prowadząc rozmowę doktor Sūné odczytywał dane ze sfigmografu i wpisywał je na grafik. Mówiono mi, że była pani zakonnica, czy to prawda? Źle panu mówiono, odparła oschle siostra Consuelo, wciąż jeszcze jestem zakonnica. Po czym uśmiechnęła się i dodała, już spokojniej: Panie doktorze, nie mówię tego, żeby się z panem spierać, ale chciałabym, aby mnie pan nie brał za głupszą, niż jestem. Już mnie uprzedzano, że siostra tu przejdzie na stopę wojenną, powiedział lekarz nie tracąc dobrego humoru, niech tam sobie gadają, co chcą, proszę odłożyć na bok niechęć i bądźmy przyjaciółmi, zgoda? I dorzucił: Aż do dziś zajmowała się siostra innymi; teraz proszę pozwolić, żeby inni, to znaczy my, zajmowali się siostrą. Wstał chcąc wyjść, ale siostra Consuelo przytrzymała go za rękaw. Doktorze, niech mnie pan posłucha, powiedziała, proszę nie myśleć, że boję się umrzeć: żyłam długo i dane mi było to szczęście, że wiele zrobiłam; mnie oczywiście wydaje się, że mało; czuję, że życie szybko ze mnie uchodzi, i myślę, że pozostało mi jeszcze dużo do zrobienia, ale to jest tylko egoizm i próżność. Chociaż wierzę w życie pozagrobowe, to jednak pragnęłabym to obecne życie przedłużać w nieskończoność; chciałabym żyć

wiecznie, tak jak tego chce najbardziej ograniczony ateista; ale aż nadto dobrze wiem, że i jedni, i drudzy, czy to ateści, czy wierzący, musimy umrzeć; ja przynajmniej umrę pokrzepiona nadzieją, mając pewność życia na tamtym świecie, a poza tym cóż mnie czeka tutaj prócz rozkładu ciała i upadku ducha? Doktor Sūné słuchał jej stojąc, z walizeczką w rękę, i milczał. Jak długo jeszcze, panie doktorze? - nalegała siostra Consuelo. Najwyżej miesiąc, powiedział lekarz, może trochę mniej; nie wiem, czy dobrze robię mówiąc siostrze o tym.

W ciągu następnych tygodni wydawało się, że przewidywania doktora Sūné muszą się spełnić. Ogólny stan zdrowia siostry Consuelo pogarszał się, marniała w oczach. Była jednak wzorową pacjentką: nigdy na nic się nie skarżyła i dla każdego miała zawsze jakieś miłe słowo; ku wielkiemu zdumieniu doktora Sūné, bez sprzeciwu i skrupulatnie zażywała liczne leki, które jej przepisywał. Spała niewiele, i to tylko dzięki środkom uspokajającym, które sprawiały, że po przebudzeniu była oszołomiona, a przy tym cierpiała na obrzęki. Chociaż zupełnie straciła apetyt, zdobywała się na wielki wysiłek, żeby jeść. Życie jest dobrem, którego użył nam Bóg, i musimy robić, co w naszej mocy, żeby je zachować, mawiała. Oczywiście żaden z tych środków nie mógł zahamować okrutnego postępu choroby. Bogu niech będzie chwała, szeptała każdego dnia, spostrzegając, jak szybko traci siły. Już nie mogła czytać nawet w okularach, a podczas codziennych spacerów, zaleconych przez lekarza, musiała jej towarzyszyć pielęgniarka. Nieustannie wzmagające się osłabienie często brało górę nad jej wytrzymałością. Jestem przekonana, że dawniej tak się to nie odbywało, panie doktorze, mówiła, kiedy wizyta lekarza zdarzała się w chwilach większej jasności jej umysłu, dawniej ludzie żyli i umierali i nie musieli się męczyć podczas tego strasznego okresu między życiem a śmiercią; to postęp medycyny sprowadził na świat takie okropieństwo. A może medycyna ograniczyła się do przywracania pewnym zjawiskom ich naturalnego porządku, odpowiadał doktor Sūné, jeżeli ciało i mózg potrzebują wielu lat, aby się ukształtować, to jest logiczne, że potrzebują także pewnego czasu, by ulec rozkładowi: ostatnie lata starca są jak pierwsze lata dzieciństwa, to okrutne, ale zgodne z naturą; medycyna nie wymyśliła ludzkiej natury; zastała ją już uformowaną i tylko usiłuje ją zrozumieć i dostosować się do jej kaprysów; to Boga powinna by siostra rozliczać z tego, a nie lekarzy. Chora obstawała przy swoim. Niech pan raczej powie, że to lekarze wypaczyli boskie dzieło, mówiła wskazując na kroplówkę, nigdy się nie zgodzę, że to jest właśnie naturalny bieg ludzkiego życia. Nic nie jest naturalne w ludzkim życiu, zauważał lekarz; trzeba poddać się temu, co oczywiste, ale to nie znaczy, że mamy siedzieć z założonymi rękami. Ach, panie doktorze, niech mnie już pan nie zmusza do spacerów, tak mnie to wyczerpuje i po co mi to? Chodźmy, siostrze, jeszcze nie pora, żeby opuszczać ten świat, jeszcze trzeba walczyć, nalegał doktor Sūné, proszę wyjść, obejrzeć telewizję, posłuchać radia, nawiązać znajomości z innymi pensjonariuszami, a może zagrałaby siostra w karty? Nigdy w nic nie grałam, panie doktorze, zupełnie się nie znam na kartach, odpowiadała mu zakonnica, no i nie jestem przyzwyczajona do życia towarzyskiego: chyba nigdy nie rozmawiałam z nikim o błahostkach, mówiłam tylko o

konkretnych sprawach. Jednakże w końcu, pod wpływem jego argumentacji, ustępowała. Wszystko to, co mi pan mówi, to absurd, panie doktorze, ale ja już nie mam czasu na kłótnie: niech pan robi, co chce, mówiła.

Pewnego dnia, kiedy bliski już był termin przewidywany przez doktora Sūné, siostra Consuelo, oczekując rychłego końca, powiedziała mu: Panie doktorze, miał pan rację, moje życie dobiega kresu; był pan dla mnie dobrym lekarzem i zarazem przyjacielem, a ja chyba byłam dobrą pacjentką; ale teraz proszę, aby pan zapomniał na chwilę o swym zawodzie i o moim stanie, bo chcę pana błagać o wyświadczenie mi wielkiej przysługi. Doktor Sūné spojrział na nią badawczym wzrokiem. Proszę się nie niepokoić, ciągnęła zakonnica, to nie będzie nic sprzecznego z pańskimi zasadami ani też z moimi; prawdę rzekłszy, dodała, chodzi o rzecz bardzo prostą, niemal dziecinną zachciankę. Widzi pan, niedaleko stąd jest stary dwór, który, jak się dowiedziałam, wciąż jeszcze nazywa się „dworem Aixeli”, chociaż ma już innych właścicieli. Czy wie pan, o jakiej posiadłości mówię? Lekarz przytaknął, zna dobrze ten dom, rzekł, gdyż odwiedzał go przy różnych okazjach. Siostra Consuelo chwilę się wahała, nim zadała kolejne pytanie; w końcu zdobyła się na odwagę i powiedziała: Panie doktorze, jak pan sądzi, czy dałoby się coś zrobić, żebym i ja też mogła tam pojechać? Doktor Sūné nie krył zdumienia wobec tak dziwacznej prośby. Ależ to całkiem niemożliwe, siostra wie lepiej niż ja, w jakim jest stanie. Siostra Consuelo westchnęła i nie odezwała się ani słowem; lekarz schował do kieszeni fartucha pióro, którym zapisywał swoje uwagi. Tak bardzo zależy siostrze na tej wizycie? - zapytał. Za całą odpowiedź siostra Consuelo zamknęła oczy; łza spłynęła po jej zwiędłym, woskowo bladym policzku. Dobrze, jeżeli jutro nie będzie padało, sam zawiozę siostrę do dworu Aixeli, powiedział doktor Sūné, ale niech siostra nikomu o tym nie mówi, nie chcę stwarzać precedensu. Tej nocy siostra Consuelo prosiła Boga, żeby nie padał deszcz i żeby starczyło jej sił aż do czasu, kiedy poczciwy lekarz spełni swoją obietnicę.

Poranek był słoneczny. Kiedy doktor Sūné wszedł do pokoju siostry Consuelo, zamiast białego fartucha miał na sobie sportowe ubranie i elegancką kurtkę z beżowego zamszu. Wyjął z walizeczki małą buteleczkę i strzykawkę.

Uwolnię siostrę od tych rurek i zrobię zastrzyk, powiedział, efekt natychmiast będzie zauważalny, ale proszę się nie łudzić: to będzie działać zaledwie parę godzin. Zgodnie z tym, co zapowiedział lekarz, siostra Consuelo przechodząc przez hol ośrodka doznała uczucia prawdziwej euforii i miała ochotę skakać i tańczyć, ale jej stopy pozwalały jedynie na powolne dreptanie, przy czym musiała się oprzeć na ramieniu swego towarzysza. W przyległym do holu pomieszczeniu, za oszklonymi drzwiami, kilkanaścioro starszków oglądało z rozdziawionymi ustami jakąś dyskusję na ekranie niemego telewizora; z kuchni buchała fala gorącego powietrza przesyconego zapachem, który przyprawiał zakonnice o mdłości. Mój samochód jest tuż pod domem, powiedział lekarz, widząc, że chora słabnie. Gdy tylko wsiedli, zapiął jej pas bezpieczeństwa. Jeszcze

możemy się wycofać, powiedział. Siostra Consuelo pokręciła przecząco głową i doktor uruchomił silnik.

Ruch uliczny był niewielki, więc w kilka minut pokonali odległość dzielącą ośrodek od majątku. Nowo powstałe budowle zasłaniały posiadłość i siostra Consuelo bardzo się zdziwiła, zobaczywszy nagle przed sobą starą okratowaną bramę. Mur i krata zachowały się i chyba były niedawno odnawiane, ale ogród, widziany z zewnątrz, przedstawiał się rozpaczliwie. Majątek, wyjaśnił doktor Sūné, należy do dziwaków, którzy bywają tu tylko w lecie, i to przez parę dni; poza tym przez cały rok opiekują się nim dzierżawcy, którzy biorą na siebie obowiązek chronienia go przed złodziejami i wandalami; kiedyś chciano przerobić dom na hotel, potem miał tu być park zabaw wodnych i wreszcie klub golfowy, ale jak siostra widzi, skończyło się na mówieniu o tym. Wysiadł i pozostawiając zakonnicę w samochodzie podszedł do bramy i kilkakrotnie nacisnął guzik domofonu. Potem chwilę z kimś rozmawiał. Siostra Consuelo, wciąż jeszcze przypięta pasem bezpieczeństwa, siedząc w aucie nie słyszała, co mówił. Brama otworzyła się. Wczoraj wieczorem dzwoniłem, żeby zapowiedzieć naszą wizytę, wyjaśnił lekarz manewrując wozem i wjeżdżając do ogrodu, dzierżawca nas oczekuje. Siostra Consuelo rozglądała się na prawo i lewo, była zmieszana: nie wiedziała, czy to otoczenie się zmieniło, czy też w jej pamięci utrwalał się w ciągu minionych lat jakiś oszukańczy obraz. Wszystko wydaje się mniejsze niż w moich wspomnieniach, pomyślała, a także brzydsze. Żywopłot z wrzosów, który niegdyś ciągnął się wzdłuż ogrodzenia, zniknął i rosły tam teraz krzaki jeżyn i pokrzywy; również wijąca się między drzewami ścieżka ustąpiła miejsca asfaltowanej alei, szerokiej i równej, prowadzącej wprost do domu i pozbawionej uroku tajemniczości. Drzewa w ogrodzie powymierały albo zostały wycięte, a na wykarczowanym terenie był kort tenisowy ogrodzony wysoką siatką i rabaty z uschniętymi kwiatami: wyraźny symptom zaniedbania, na jakie obecni właściciele skazali całą posiadłość. Samochód zatrzymał się na podejździe przed domem i zanim zdążyli wysiąść, wybiegł im na spotkanie dzierżawca. Był to podejrzenie wyglądający Senegalczyk, który mówił po katalońsku z wyraźnie cudzoziemskim akcentem, ale poprawnie i ze swobodą. Grzecznie przywitał doktora i powiedział, że bezskutecznie dzwonił do Barcelony, aby porozumieć się z właścicielami dworu, ponieważ bez ich pozwolenia nie może wpuścić gości do środka. Dawny pan tego domu, wyjaśnił, kolekcjonował dzieła sztuki i pozostało jeszcze trochę cennych okazów we wnętrzu, a na nim, na dzierżawcy, spoczywa ciężar odpowiedzialności za owe przedmioty, bo obecny właściciel wydał mu w tej materii bardzo dokładne polecenia; a przy tym, delikatna sytuacja, w jakiej znajdują się tu kolorowi, zmusza go do maksymalnej ostrożności. Wiem, że i pan doktor, i towarzysząca mu pani są osobami godnymi zaufania, dodał, ale któreś z państwa mogłoby przypadkiem uszkodzić jakąś drogocenną rzecz, a wówczas, o, nie daj Boże, nie chcę nawet myśleć o tym, czego bym się nasłuchał. Doktor chciał pertraktować z sumiennym dzierżawcą, ale siostra Consuela powstrzymała go. To nieważne, doktorze, szepnęła mu do ucha, proszę zapytać, czy jest jeszcze za domem sad, który tam był dawniej. A pewnie, że jest, przytaknął dzierżawca, kiedy lekarz

powtórzył mu pytanie, i to bardzo ładny, jak mi się zdaje; jeżeli państwo zechcą go obejrzeć, nie będę miał nic przeciw temu, tylko proszę nie deptać grządek.

Okrążyli dom, coraz to przystając, aż znaleźli się przed gankiem. Na wzgórzu, gdzie dawniej rosła lucerna i rozciągały się winnice, stały teraz całe rzędy białych piętrowych domków z garażami i ogródkami; w każdym ogrodzie, oddzielonym od sąsiadów bielonym murem, chwiało się na wietrze wiotkie drzewko o trzepoczących gałązkach. Ogromny plakat zapowiadał otwarcie tej willowej dzielnicy, której domy, komfortowo wyposażone, były wciąż jeszcze wystawione na sprzedaż. Zakonnica westchnęła. Zmęczyła się siostra, powiedział doktor Sūné, chodźmy do samochodu. Nie, nie, podejźmy do sadu, a potem wrócimy, powiedziała stanowczym tonem. Moim obowiązkiem jest czuwanie nad siostry zdrowiem, zaczął oponować lekarz, ale ona mu przerwała: Zwalniam pana z tego obowiązku. Siostra nie wie, na co się naraża, mruknął lekarz, zaprowadzę siostrę, dokąd tylko zechce, ale jeżeli upadnie i złamie sobie nogę, to ja siostrze złamię drugą, za to, że jest taka uparta.

Sad był taki jak dawniej, a powietrze pachniało wilgotną ziemią i świeżo wyrwanymi jarzynami. Nad nimi unosiła się zygzakowatym lotem ważka, a z daleka słychać było rechotanie żaby. Doktor Sūné i chora przystanęli nad stawem. Siostra Consuelo popatrzyła na wodę i szepnęła: Tu pragnęłam przyjść, a teraz już możemy wracać. Nie chciałbym być niedyskretny, ale czy siostra nic mi nie powie? Siostra Consuelo uśmiechnęła się smutno. Bardzo mi przykro, ale nie mogę panu wyjawić tej tajemnicy; powiem tylko, że ma ona związek z czymś, co mi się zdarzyło przed laty, kiedy byłam młoda; wówczas przychodziłam tu często i rozmawiałam z dawnym właścicielem, przeżyłam tu chwile, które teraz wydają mi się szczęśliwe, a skoro los przywiódł mnie znowu do San Ubaldo, nie chciałam odejść ze świata nie zobaczywszy po raz ostatni tego miejsca. Zamyśliła się nad czymś, spoglądając na wodę, po czym powiedziała cicho: Czy da pan wiarę, że pewnego razu całkiem serio rozważałam zamiar rzucenia się do tego stawu? Lekarz milczał chwilę, a potem rzekł: Wprawdzie znam siostrę od niedawna, ale nie jest mi trudno w to uwierzyć; czy wolno zapytać dlaczego? Dlaczego chciałam się rzucić do wody czy dlaczego się nie rzuciłam? - spytała siostra Consuelo. A na które z tych dwóch pytań wolałaby siostra odpowiedzieć? - powiedział. Zakonnica uśmiechnęła się: Na żadne. Lekarz też się uśmiechnął; blask słoneczny przesiewał się przez liście drzew w sadzie i zapewne wskutek tego rysy chorej zdawały się wyzbywać ostrości, którą naznaczyły je ostatnie pełne cierpienia tygodnie i fizyczne wyniszczenie; twarz jej była gładsza i bardziej pogodna. Spojrzał na zegarek. No, teraz to już naprawdę zrobiło się późno, powiedział.

W drodze powrotnej zakonnica spytała doktora Sūné, jak to się stało, że zna on tę posiadłość, na co odparł, że kilka lat temu, kiedy właśnie zaczął pracować jako lekarz przytułku wygrawszy konkurs na tę posadę, był z wizytą we dworze, gdyż wezwano go do chorego właściciela majątku. Był to starzec, nazywał się Augusto Aixelà de Collbató,

powiedział, być może to ta sama osoba, z którą w swoim czasie spotykała się siostra. Siostra Consuelo odrzekła, że istotnie chodzi o tę samą osobę, i poprosiła, by mówił dalej, co też uczynił podejmując swą relację: W czasach, kiedy go odwiedzałem, Augusto Aixelà mieszkał tu sam i było mu naprawdę ciężko, bo podupadł na zdrowiu i występowały u niego wyraźne objawy starczej demencji; jego sytuacja materialna też była niedobra. Zdaje się, że posiadał kiedyś znaczną fortunę, którą w najgłupszy sposób roztrwonił. A że był to człowiek słabego charakteru i skłonny do rozwiązłości, otoczył się fałszywymi przyjaciółmi, nieciekawymi osobnikami, którzy nadużywając jego zaufania wciągnęli go w rujnujące interesy. Rozpusta i oszustwa wspólników zżarły po trochu całe jego dziedzictwo. W końcu został mu już tylko dom z ogrodem i sadem, lecz obciążony hipotecznymi długami. Wytrwał tak jeszcze przez pewien czas wyprzedając za bezcen swoją wspaniałą kolekcję dzieł sztuki, meble i cenne przedmioty, a nawet ogromną galerię portretów rodzinnych, aż w końcu, gdy bieda zajrzała mu w oczy, musiał skapitulować: wbrew własnej woli sprzedał to, co mu zostało, za sumę równą zadłużeniu i bez grosza przy duszy przeniósł się do przytułku dla starców, gdzie przeżył jeszcze parę lat i gdzie nikt go już wtedy nie odwiedzał: miał tylko dalekich krewnych, z którymi się klócił przez całe życie i których nie mógł teraz przyciągnąć nadzieją na kuszący spadek. Nigdy nie było między nami dobrych stosunków, dodał lekarz, Augusto Aixelà był starym awanturnikiem, despotą i zarozumialcem; źle traktował pielęgniarki, po prostu dlatego, że nie pozwalały się obmacywać; wciąż wysyłał do redakcji „La Vanguardia” listy z nieuzasadnionymi skargami na niedostateczną higienę w ośrodku, na złe jedzenie, na personel; i każdemu, kto go chciał słuchać, opowiadał, że zasługuje na szczególnie troskliwe traktowanie, bo wprawdzie dzisiaj nie może nawet zapłacić za swoje utrzymanie i musi żyć na koszt opieki społecznej, ale kiedyś z własnej kieszeni wyłożył pieniądze na przebudowę dawnego Szpitala. Doktor Süné przerwał na chwilę, po czym powiedział: Mówił też, że zdecydował się na ten wydatek chcąc spełnić życzenie pewnej kobiety, którą bardzo kochał, ale która nie potrafiła odwzajemnić jego uczucia. Słyszając to, siostra Consuelo, która przymknęła oczy i zdawała się drzemać ukołyszana opowiadaniem lekarza, pokręciła głową, uśmiechnęła się i zauważyła: Zawsze był z niego kłamca.

Nazajutrz po wizycie w dworze Aixeli doktor Sūné zastał chorą w stanie skrajnego wyczerpania. Zdaje mi się, siostrze, że wczoraj wystrzeliliśmy ostatni nabój, powiedział, żałuję, że dałem się na to namówić. Zakonnica uśmiechnęła się do niego. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo jestem wdzięczna za to, co pan dla mnie zrobił, doktorze. Wypowiadała się, przyjęła komunię świętą i otrzymała ostatnie namaszczenie; potem zapadła w śpiączkę. Kierownictwo ośrodka zawiadomiło o tym rodzinę chorej, i pod wieczór przybyli dwaj mężczyźni w podeszłym wieku; zjawili się w momencie, gdy wydawała ostatnie tchnienie. Doktorowi Sūné, który składał im kondolencje, powiedzieli, że nie widzieli siostry od bardzo wielu lat, od chwili kiedy jeszcze jako młodzianka dziewczynka opuściła rodzinny dom, aby rozpocząć nowicjat; wstępując do zakonu zerwała wszelkie więzy z rodziną, mówili; od tamtej pory zaledwie cztery czy pięć razy miały miejsce spotkania z nią, bardzo rzadkie, przelotne i zawsze spowodowane jakimiś smutnymi wydarzeniami. Dlatego też, wyznali, śmierć siostry nie przygnębiła ich zbyt. Mimo to podczas uroczystości żałobnej młodszy z braci kilkakrotnie nie mógł powstrzymać szlochu, a na cmentarzu obaj byli wyraźnie wzruszeni. Przed wyjazdem spytali, czy choroba i pogrzeb ich siostry pociągnęły za sobą jakieś wydatki, bo jeżeli tak, to gotowi są je pokryć, oświadczyli. Powiedziano im, że nie, ponieważ zakon bierze na siebie wszelkie koszty, i wydawało się, że ta odpowiedź pograżyła ich w wielkim smutku. Biedna Constanza, mówili, była naszą małą siostrzyczką, ale nigdy nie mogliśmy dla niej nic zrobić, nawet teraz.

Tego wieczoru, kiedy doktor Sūné zbierał się, by po pogrzebie wracać do domu, jedna z pielęgniarek wręczyła mu list, który, jak powiedziała, znaleziono w pokoju zakonnicy, gdy ekipa sanitarna weszła tam, by posprzątać i zdezynfekować pomieszczenie. Należy to wprowadzić do osobistych rzeczy zmarłej, dodała pielęgniarka, ale list jest zaadresowany do doktora Sūné, toteż uznała, że powinna oddać mu go nie wspominając o tym nikomu z dyrekcji ośrodka ani braciom nieboszczki. Doktor Sūné przyznał jej rację i zabrał list, a w domu zaraz zaczął go czytać. Był on napisany drżącą ręką, nie zawsze czytelnie, i oto co zawierał: Wczoraj, w sadzie za domem Aixeli, powodowany zrozumiałą ciekawością, chciał się pan dowiedzieć, co tak nieodparcie przyciągało mnie tam i skłaniało do odwiedzenia tej posiadłości in articulo mortis, by tak rzec, ja zaś nie zdobyłam się na to, żeby szczerą odpowiedzią odwdzińczyć się za szlachetność i uprzejmość, jaką mi pan okazał spełniając moją prośbę. Prawda jest taka, że nie chciałam panu mówić o tym, co działo się tam przed laty, ponieważ powodował mną wstyd, tym bardziej absurdalny, że odczuwałam go teraz, a nie wtedy, dawno temu, kiedy powinnam była się wstydić. To, co się stało, pisała dalej, było całkiem zwyczajną rzeczą: Wtedy, wiele lat temu, straciłam najpierw głowę, a potem swoją cześć w ramionach mężczyzny, dla którego byłabym porzuciła zakonne życie, gdyby Pan Bóg nie wmieszał się w moje sprawy objawiając mi Swoją Nieugięłą Wolę. List, pisany raczej z troską o pośpiech niż o poprawną formę (z

pewnością z powodu postępującej utraty sił), zawierał następnie taką relację: Zdarzyło się to wtedy, gdy nastał rok potopu. Po długiej suszy niebo się otwarło i ogromne ulewy spustoszyły cały region; w Bassorze zostały zalane fabryki i domy, wiele rodzin było bez dachu nad głową, ludzie tracili życie, ale mnie to zupełnie nie obchodziło, bo wiatr wpadający przez okno gabinetu przynosił z ogrodu czystą i radosną woń kwiatów. Kto wie, dodawała pisząca te słowa, może osiągnęlibyśmy szczęście, gdyby nie sprzysięgły się przeciw nam, chcąc nas rozdzielić, wszystkie żywioły, wspomagane w dodatku całą serią niespodziewanych i straszliwych katastrof. Nie przyszłam tamtej nocy na spotkanie, tak jak obiecałam, ponieważ okropne zajścia, którym towarzyszył rozlew krwi, nie pozwoliły mi dotrzymać słowa i zaspokoić własnych pragnień. Kiedy w końcu dotarłam do dworu, było już za późno, on wyjechał. Całe moje dalsze życie było długim i milczącym pasmem kłamstw: po wielu latach nadal uciekam ku gorącemu wspomnieniu tamtej jedynej chwili intymnego szczęścia, jaką dane mi było przeżyć na tym świecie. Bez tego wspomnienia chyba bym nie mogła znieść tak wielkiej samotności. Teraz wreszcie nadszedł moment, by zdać z tego sprawę Najwyższemu, i myślę o tym ze strachem; ufam w Jego Nieskończone Miłosierdzie, ale drzę na myśl o surowej Boskiej Sprawiedliwości, którą na próżno usiłowałam okpić przez te wszystkie lata, tysiąc razy wyznając w konfesjonale swój grzech, ale nigdy nie czując się winna, bo wciąż jestem tam, skąpana w łagodnym blasku owego letniego popołudnia, zaskoczona i na wpół uśpiona, obojętna na wszystko, chociaż dobrze wiem, że właśnie za to pełne arogancji, uparte nieposłuszeństwo muszę zostać potępiona. Ostatnie akapity listu, przelane na papier resztką sił, były prawie niezrozumiałe. Niektóre zdania lub fragmenty zdań zdawały się pisane nieco sprawniejszą dłonią, ale ich sens był niejasny. Cierpienie, szczęście i namiętność są tylko snem, stwierdzała ni z tego, ni z owego w połowie jakiegoś zdania autorka listu. I wreszcie, za pomocą ledwie dających się odczytać gryzmołów, oznajmiała: Zawsze bałam się wieczności; wyobrażam ją sobie jako coś ogromnego, niezbyt sprzyjającego ponownym spotkaniom; i jeżeli rzeczywiście jest taka i nigdy a nigdy już się nie zobaczymy, to chcę, abyś wiedział, mój najdroższy, że zawsze cię kochałam i zawsze cię będę kochać. Pod tym chaotycznym i niewczesnym wyznaniem było jeszcze parę linijek jakiejś bazgraniny, tak jakby ręka, która stawiała te znaki, wykonywała mechaniczne ruchy wówczas, gdy duch, co nią rządził, przekroczył już granice tego świata.